



# III Zjazd Rodziny Galczaków

***Odnajdujemy się, nie po to, aby o  
sobie zapomnieć.***

# III Zjazd Rodziny Galczaków

*Jestem  
Galczak, Gabryś Galczak*



Chodecz 2010

Mój mały lecz wielki kawałek świata

Gdzie zieleń łąk i złoty zboża łąn,  
gdzie las, polana i miękkość mchu,  
gdzie koszyk jabłek i malin dzban,  
gdzie zapach siana, jaśminu, bzu ...  
T u śpiew skowronka wiosnę zwiastuje,  
pszeniczne kłosa lato witają,  
czerwienią i złotem klon jesień maluje,  
tu srogą, białą zimę przyjacielem nazywają.  
Ja się z niej wiodę... z kujawskiej ziemi,  
z samego serca, z miasta Włocławek.  
Tu rzeka Wisła wodami swymi  
błękitem rozjaśnia czarnej ziemi skrawek.  
Ja się z niej wiodę... ja młody ptak,  
co rwie się z gniazda by wielki świat  
zobaczyć, poznać, dotknąć, spróbować...  
I wrócić na ziemię kujawską i dom swój zbudować.

Kosowski Grzegorz  
Włocławek, październik 2007 r.

*Drodzy Uczestnicy III Zjazdu Rodziny Galczaków.*

**O**ddajemy w Wasze ręce kolejny, trzeci informator wydawany z okazji naszych największych spotkań rodzinnych. Staramy się zawrzeć w tych wydawnictwach najważniejsze informacje dotyczące naszej rodziny.

To wydanie w znacznej części przeznaczone zostało naszemu młodszemu pokoleniu z nadzieją i przekonaniem, że to właśnie oni przejmą po nas stery działalności na rzecz rodziny, że w przyszłości będą kontynuować tradycję spotkań i zjazdów, a także podtrzymywać działalność naszej strony internetowej.

Zwróciliśmy się do członków naszej rodziny, żeby przygotowali informacje o swoich najbliższych, o ważnych wydarzeniach. Zebrane materiały zamieściliśmy w tym biuletynie. Mamy nadzieję, że przyczynią się do bliższego poznania rodziny. Życzymy fascynujących spotkań.

Redakcja



# Pomiędzy zjazdami

**C**zesław Niemen śpiewał: „czas jak rzeka jak rzeka płynie, unosząc w przeszłość tamte dni...”

Wszystko wokół nas się zmienia, my również. Można to skwitować stwierdzeniem - „cest la vie”, czyli „takie jest życie”.

Jedni przychodzą, inni odchodzą... Raz jest radość, kiedy indziej łzy. Za każdym razem dotyka nas to osobiście i głęboko.

Niech ten almanach będzie zapisem dziejów, kroniką naszej rodziny.

Pamiętajmy też, że odnajdujemy się nie po to, aby o sobie zapomnieć.

W naszym biuletynie zamieszczamy informacje o najważniejszych wydarzeniach, które miały miejsce pomiędzy zjazdami.

Niech zostaną w naszej pamięci.

Posiłkujemy się informacjami, jakie płyną od Was.



## Powitaliśmy nowych członków rodziny

### Urodzili się:

2009 r. **Ewa Kamińska** (A32432) Włocławek

2009 r. **Jeremi Galczak** (A221111) Warszawa

2009 r. **Borys Pawłowski** (A132622)

Lubraniec

2009 r. **Karin Galczak-Borovic'ka**

(A132622) Decin (Czechy)

2009 r. **Gabriel Michał Galczak** (F163311)

Poznań

2009 r. **Jakub Galczak** (F441312) Łobez

2010 r. **Helena Izabela Jóźwiak** (F441312)

Bydgoszcz.

2010 r. **Wiktoria Frąckowiak** Bydgoszcz



## Pobrali się

Nasza rodzina powiększyła się też o nowych, dorosłych członków:

- 2008r **Sebastian Galczak** (A11131) i **Katarzyna Kmiecik** Elbląg

- 2008 **Milena Lica**(A255511) i **Tomasz, Roman Kowalski** Tolkmicko

- 2009r **Karolina Galczak** (F1872) i **Emil Daniel** Włocławek

- 2009r **Aleksandra Froch**(A22131) i **Bartosz Frąckowiak** Bydgoszcz

- 2010r **Barbara Balicka** (F16141)

i **Michel Eusman**

- 2010r **Wojciech Galczak** (A11231)

i **Justyna Zimna** Włocławek



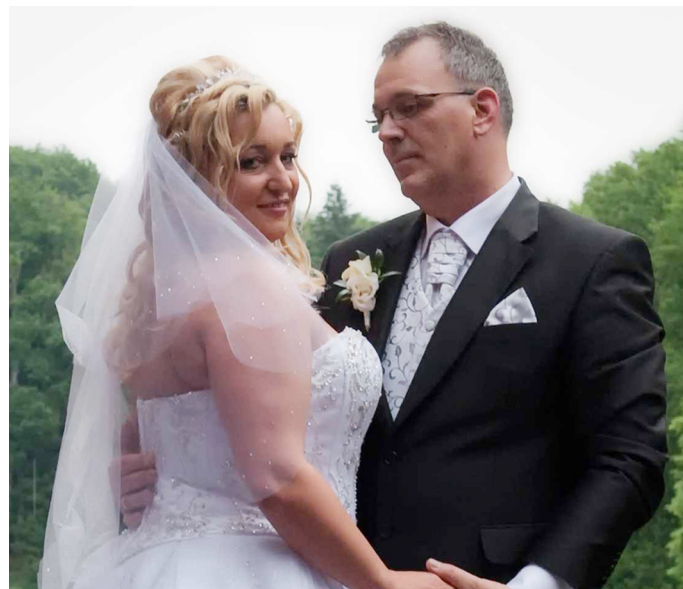
Katarzyna Kmiecik i Sebastian Galczak

## **Kodeks Jana ze Słupcy (XVw.)**

*Nie wybieraj, junochu, junochy z cudnyma oczyma,  
Ale słuchaj, jestli dobra jest, cichyma uchoma.  
Poradzaj się, junochu,  
Byś na lato nie został bez grochu.  
Nie patrz, iżeć po liczku rumiona,  
Ale patrzaj, być była domowa.*



Karolina Galczak i Emil Daniel



Barbara Balicka i Michel Eusman



Aleksandra Froch i Bartosz Frąckowiak



Milena Lica i Tomasz Kowalski

# Złote gody



Wojciech Galczak i Justyna Zimna  
Pobrali się tuż przed zjazdem. Uroczystość odbyła się 7 sierpnia br.



2009.01.17 Złote Gody obchodzili **Zofia(A2555)** i **Stanisław Kosiorek(A2555a)**

W Urzędzie Stanu Cywilnego miała miejsce uroczystość wręczenia dyplomu gratulacyjnego przez Burmistrza m.Tolknicka z okazji 50 lecia pożycia małżeńskiego i dokonania wpisu do Księgi Pamiękowej.

Jubilatom życzymy zdrowia i dalszych wspólnie przeżywanych lat w zgodzie i miłości.



W lipcu 2010 jubileusz 85. rocznicy urodzin obchodziła Wanda Owczarek(S162). Na uroczystości nie zabrakło rodziny z życzeniami. My również przyłączamy się życząc dostojnej Jubilatce bardzo wielu lat w zdrowiu i spokoju oraz szczęścia nie tylko wśród najbliższych.



## Moja Droga

*U stóp wielkiej góry bezradny stanąłem,  
na szczyt jej patrzyłem, bardzo bałem się.  
Czy na swe barki nie za wiele wzięłem,  
czy Panie Boże nie zawiodę Cię?  
Stromą ścieżką krok po kroku  
przemierzałem życie swe.  
Chciałem miłość, dobro, pokój  
dawać ludziom w imię Twe.  
Mnie, prostemu człowiekowi  
wyznaczyłeś Panie cel:  
„Miej nadzieję, ufność, wiarę,  
tym się z moim ludem dziel”.*

*Stoję na wierzchołku góry,  
patrzę na mój piękny kraj.  
Widzę słońce, księżyc, chmury...  
Może tak wygląda raj?  
Gdy u kresu swej wędrówki przed  
Stwórcą stanąłem,  
rzekłem : „Nie wszystko zrobiłem Mój  
Panie,  
choć się starałem z największym  
mozołem”.  
Odpowiedział Pan: „Wystarczy,  
dziękuję Prymasie Stefanie”.*

Autor : Artur Kosowski

## Odeszli w 2010 r.:

**Edward Galczak**  
F6512 Włocławek

**Krystyna Galczak**  
F6512a Włocławek

**Marian Galcak**  
z Podkarpacia

**Henryk Galczak**  
nestor rodu drzewa łódzkiego.

**Stanisław Galczak**  
T 1127 Wólka Turebska z  
Gałęzi Tomasza T1127



## Do uczestników III Zjazdu Rodziny Galczaków



Kochani.

Witam Was. Niestety, nie mogę uczestniczyć w tegorocznym zjeździe. Bardzo bym chciał być z Wami, ale zdrowie nie pozwala na przyjazd i cieszenie się Waszym towarzystwem.

Mile wspominam minione spotkania, w czasie których miałem okazję porozmawiać, powspominać, a także poznać wielu młodszych członków naszej rodziny.

Przed Wami długie życie. Życzę, aby było szczęśliwe. Pamiętajcie jednak, że to Wy dzierżycie w dłoniach i umyśle własny los. Przede wszystkim od Was zależy jak się ono potoczy

Korzystajcie więc z możliwości kształcenia się. To jest bardzo ważne. Wiedza jest Waszą przyszłością, korzystajcie z tego. Ja nie miałem warunków do nauki, jak Wy macie teraz. W czasie wojny zaznałem biedy, byłem więziony w obozach, przechodziłem przez trudne powojenne czasy. Dalem jednak radę. Wspólnie z żoną wychowaliśmy czworo dzieci, wypracowałem sobie emeryturę i mogę godnie żyć.

Dzisiaj, gdy mam już 93 lata, pomagają mi dzieci. Jest mi coraz trudniej poradzić sobie w życiu codziennym.

Uwierzcie, rodzina jest bardzo, bardzo ważna. Żyćcie rodzinnie, spotykajcie się, odwiedzajcie, pomagajcie sobie wzajemnie i nie zapominajcie o bliskich, ani o tych dalszych członkach rodziny.

Życzę Wam dużo zdrowia, wielu takich zjazdów i spotkań.

Kocham wszystkich Galczaków.

Kazimierz Galczak  
Pabianice 2010

# W poszukiwaniu korzeni

**Elżbieta Duszyńska-Ćwiklicka(A1122), niestrudzona poszukiwaczka rodzinnych korzeni odwiedziła Archiwum Państwowe w Inowrocławiu. Wróciła z tej wyprawy z przekonaniem, że jest jeszcze wiele dokumentów do odnalezienia.**

**N**a początku lipca 2010 pojechałam z Mieczysławem do archiwum w Inowrocławiu, aby kontynuować poszukiwania naszych przodków. Chcieliśmy przejrzeć księgi obecnej parafii Dąbrowa Biskupia, do której należą wioski Pieranie i Sobiesierne.

Na uzupełnienie czekała i nadal czeka gałąź Stanisława. Wszystko wskazywało na to, że jest on bratem naszych protoplastów Andrzeja i Franciszka, ale

Z aktu tego wynika, że Stanisław urodził się w 1820r i był najstarszym z trzech odnalezionych braci.

W dniu ślubu Andrzeja z Antoniną Jaźwierską w 1850r(Ściborze) miał 29 lat.

Wynika z tego również, że Andrzej urodził się w 1821r.

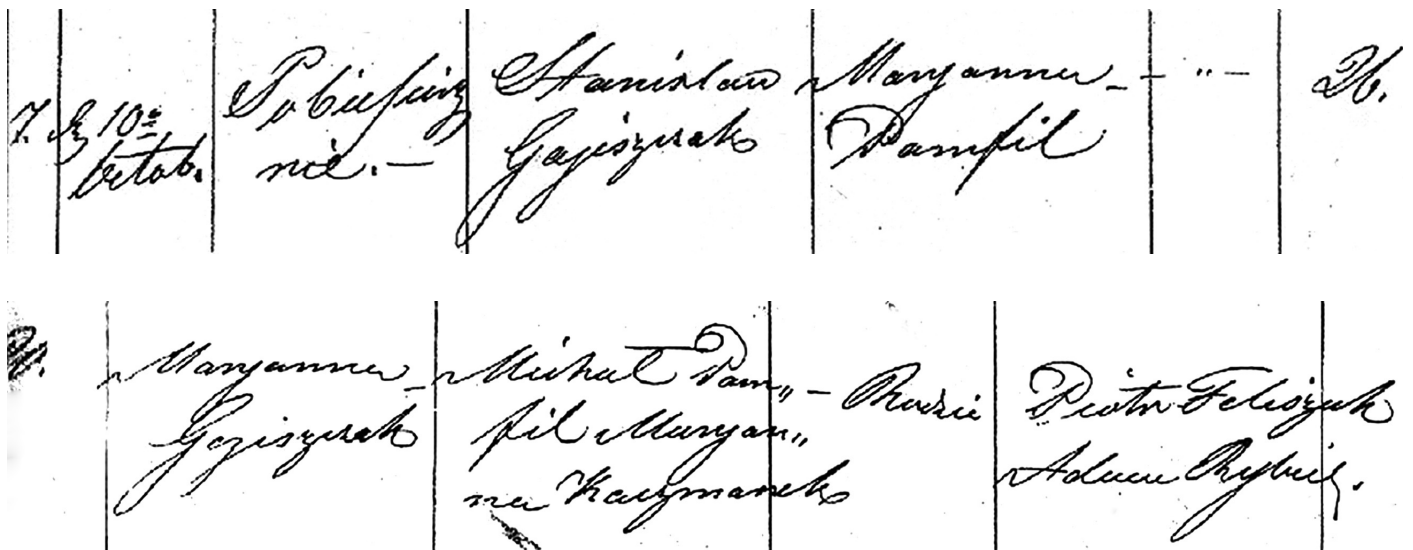
Natomiast Franciszek urodził się w 1824r. Ślubował w 1848r (Ściborze), W dniu ślubu miał 24 lata.

Czyli to Stanisław jest najstarszym z braci i tylko on podał księdzu pełne, nie skrócone imię matki – Marianna (Anna).

Następne dokumenty dotyczące Stanisława to:

1.AP.Inowrocław- rok 1858r w Stanomskiej Woli - wpis 29.

Urodził się Józef, syn Stanisława i Marianny – z d. Pamfil i było to jedyne ich dziecko.



Fotografie wpisów w akcie zawarcia ślubu Stanisława Galczaka z Marianną Pamfil. Dokument znajduje się w Archiwum Państwowym w Inowrocławiu.

brakowało dowodu w postaci jakiegokolwiek dokumentu.

Niedawno odnalazłam akt zawarcia związku małżeńskiego (A.P. Inowrocław)

- Parafia Pieranie Kościół p.w. św. Mikołaja – sygnatura 2 Nr 7/1846, wieś Sobiesierne.

Ślub zawarli:

Stanisław Galczak (org. wpis - Gajszczak) lat 26 z matki Marianny (org. wpis - Gajszczak),

z Marianną Pamfil lat 20 ojciec Michał Pamfil, matka Marianna Kaczmarek.

2.AP Włocławek Służewo – rok 1879 wpis 132 str. - zmarła Marianna Galczak z/d Pamfil, żyła 50 lat - żona Stanisława a matka Józefa.

Aktu zgonu, Stanisława niestety do tej pory nie udało się odnaleźć. Nie znamy daty jego śmierci i to nadal oczekuje na wyjaśnienie.

Podczas wizyty w Inowrocławiu w parafii Dąbrowa Biskupia nie odnalazłam żadnych śladów „naszych”, jedynie wpis o ślubie jakiejś kuzynki Marianny Pamfil w roku 1876.

*W wiosce Pieranie, jest kościół, gdzie ślubował Stanisław z Marianną. Odrestaurowany, piękny, jeden z największych drewnianych kościołów w Polsce, powstał w latach 1732-34. Później wielokrotnie remontowany.*

*Z tym kościołem związana jest legenda o Macieju Słubickim, ostatnim kolatorze kościoła, który roztrwonił majątek i popadł w długi, a chcąc ratować się przed wierzycielami okradł kościół z precjozów i kosztowności, które wierni składali, jako wota. Podobno nocami można zobaczyć postać z wielkim workiem, która kręci się wokół kościoła. To dusza nieszczęsnego kolatora skazana na tułaczkę, póki nie wróci do kościoła wszystkie zrabowane dobra. Jak*



*Kościół w wiosce Pieranie. Tu ślubował Stanisław z Marianną, ale nie oni straszą nocami.*

*dobrze, że ów Maciej, to nie jeden z „naszych”.*

*Przejechaliśmy także przez wieś Ściborze, gdzie mieszkali, jako młodzieńcy i pewnie byli tam wyrobnikami bracia - Stanisław, Andrzej i Franciszek z matką Marianną Galczak.*



*Dzisiejszy widok wsi Ściborze. Tam przed laty mieszkali nasi przodkowie.*

*Eżbieta Duszyńska-Ćwiklicka*

# Niby nic, a tak się zaczęło...

---

## Jak doszło do pierwszego Zjazdu Rodu Galczaków i co dalej?

**D**ziało się to roku pańskiego 2005, kiedy... Nie, nie tak, przecież ja nie jestem Kronikarzem Gallem Anonimem. Jestem Mirosławem Galczakiem (315) żyjącym na początku XXI wieku, a mają to być moje osobiste wspomnienia.

Posiadałem ciut, ciut wiedzy na temat historii naszego rodu z opowiadań Dziadka stryjecznego **Wojciecha**, wizyt z nim u rodziny w **Lubrańcu** oraz jego rodzonej siostry, zamieszkałej we Włocławku, nad Wisłą. Wiecie jak to jest, gdybym wiedział wtedy, jako chłopiec, że te informacje mogą mi się kiedyś przydać, to oczywiście zamiast biegać z innymi dziećmi np. z latawcami, rzucać kamieniami lub bawić się w klasy, to bardziej bym słuchał i zapamiętywał, co wspominają starsi. Niestety, mądrzeje się wraz z przybywaniem lat

W okresie swej dorosłości poznałem dwie wspaniałe dziewczyny, (uważałem i uważam, że wszystkie dziewczyny z naszego Rodu są wspaniałe),

### a to było tak.

W Świnoujściu, istniało Policealne Studium Obsługi Ruchu Turystycznego. Słuchaczką tej szkoły została **Danusia Galczak (1223)**.

Większość wykładowców tej szkoły, to byli nasi przyjaciele. Nieuniknione więc było pytanie, czy my jesteśmy jej rodziną.

Kiedy w niedzielę przyjechał odwiedzić Danusię jej ojciec **Jan (122)** zapytał go, jakie więzy rodzinne nas łączą. Janek nie wiedział, więc odwiedzili nas. W następstwie tej wizyty Danusia zamieszkała z nami. Po ukończeniu szkoły podjęła pracę zawodową w Świnoujściu, wtedy ułatwiliśmy jej zakup małego mieszkania, kawalerki. Później poznała swego męża i po ślubie wyjechali do Szwecji. Aż do odejścia Sławki i Janka bywaliśmy z żoną u siebie, później straciliśmy kontakt.

Następny kontakt z Rodziną nastąpił dzięki **Ewie (4473)**,



*Mirosław Galczak*

### a było to tak.

Pewnej pięknej letniej niedzieli po południu, dzwonek do drzwi, otwieram, młoda, ładna, jak to się dziś określa, laska:

- *Dzień dobry! Czy pan Galczak?*
- *Dzień dobry! Tak! Słucham?*
- *Jestem Ewa Galczak. Czy można porozmawiać chwilę?*
- *Ależ oczywiście! Bardzo proszę wejść*

Przedstawiłem ją Sławce. Sławka zaproponowała jej kawę, lody i lampkę koniaku, by ją trochę ośmielić, bo była zmieszana.

W rozmowie okazało się, że jest na stażu lub nakazie pracy (w tej chwili nie pamiętam formy) w Szpitalu w Świnoujściu. W trakcie dyżuru nocnego z dyrektorem szpitala Romanowskim, ten zapytał,

czy jest krewną państwa Sławki i Mirka Galczaków. Machinalnie potwierdziła, że tak. Po zejściu z dyżuru i odpoczynku zorientowała się, że musimy być z dyrektorem znajomymi, a w związku z tym, on może zaskoczyć nas tą informacją przy jakimś spotkaniu. W związku z tym postanowiła do nas przyjść uprzedzić i przeprosić. Wtedy ani ona, ani jej Rodzice nie umieliśmy ustalić stopnia pokrewieństwa.

Ewa zaczęła u nas bywać. Okazało się, że mieszka w Hotelu dla Pielęgniarek. Warunki zamieszkania nie były tam zbyt luksusowe, więc załatwiłem jej u swojego przyjaciela, dyrektora dużego przedsiębiorstwa, jeden z pokoi gościnnych, które on posiadał. Ewa tam zamieszkiwała aż do swego wyjazdu, a gdy myśmy wyjeżdżali, przebywała w naszym mieszkaniu.

W roku 2004, wykonując jedno ze zleceń Urzędu Miasta, trafiłem na dokument, w którym były podane liczby osób noszących to samo nazwisko, pamiętam, że zaskoczyła mnie jak dużo jest Galczaków.

Miałem wiedzę jak powstawały grupy społeczne i narodowościowe. Pamiętacie: rodzina, ród, plemię i na końcu grupa narodowościowa i państwo. Miałem również wiedzę, jak duże znaczenia miały „rodziny wielopokoleniowe”. Nie chodziło o zamieszkiwanie w jednym domu. Chodziło o znaczenie więzi, jaka ich łączyła. Wiedziałem, że dziadkowie Jan i Wojciech pochodzą z Lubrańca. Pradziadek Andrzej uciekł na skutek represji pruskich spod Inowrocławia, jak również, że jest nas bardzo wielu.

Postanowiłem, więc Was odszukać i

### to było tak.

Wykonałem telefon do Urzędu Miasta i Gminy w Lubrańcu, przedstawiłem się, przedstawiłem problem i poprosiłem o pomoc. Miła kobieta była tak uprzejma, że wbrew przepisom, telefonicznie podała mi adresy i numery telefonów do Stefana i Ireny (1326) uprzedzając mnie, że Stefan jest już chory, a jej się wydaje, że może mi pomóc tylko Irena..

Wykonałem, więc do Niej telefon. Rozmowa przebiegała tak:

- *Cześć Irena! Mówi Mirek. Co u Ciebie słychać? Jak się czujesz?*

- *Dzień dobry! Wszystko w porządku! Ale kto mówi?*

Widocznie znała jeszcze innych Mirków. Wyjaśniłem, więc kim jestem, dlaczego dzwonię i czy może mi pomóc w uzupełnieniu wiedzy o historii Andrzeja i w zbudowaniu Drzewa Genealogicznego, jego potomstwa. Irenę to zainteresowało, ale nie mogła mi pomóc. Stwierdziła natomiast, że we Włocławku mieszka kuzynka **Ela (1122)**, która jest młodą emerytką i którą pewnie ta sprawa zainteresuje. Podała mi numer telefonu.

**Ele** zainteresowała ta sprawa. Doszliśmy do wniosku, że we dwoje nie damy rady, że z pewnością włączy się do tego jej brat **Andrzej (1123)** oraz stryjeczny brat **Wojciech (1111)**. Za kilka dni Ela do

mnie zadzwoniła i zaprosiła na spotkanie na sobotę i niedzielę. Umówiliśmy się, że przyjadę i zatrzymam się u nich. W sobotę odbyło się u Eli spotkanie, chyba dwunastu osób, na którym stwierdzono, że warto i należy podjąć działania dla odtworzenia historii naszej Rodziny Galczaków, stworzenia Drzewa Genealogicznego oraz w efekcie ewentualne zorganizowanie Zjazdu odszukanych członków rodziny. Powstał Sztab Organizacyjny w składzie: **Ela (1122)**, **Wojtek (1111)** i **Andrzej (1123)**.

Nie, nie, nie myślcie, że tylko ta Wielka Trójka pracuje nad tym byśmy mieli własną stronę internetową. Przy niewątpliwych osiągnięciach są to również osiągnięcia ich współmałżonków: **Mietka, Heni i Tesy**.

Wiecie, dla mnie 77-latką, efekty działania i żmudnej pracy tej **szóstki zapaleńców**, osiągniętej tylko w **okresie pięciu lat**, są **fantastyczne**:

- Odszukanie i stworzenie Drzewa Genealogicznego Andrzeja i Jego potomków.

- Odszukanie i stworzenie Drzewa Genealogicznego braci Andrzeja i ich potomków

- Administrowanie i moderowanie Strony Internetowej Rodziny

- Poszukiwania i ustalanie stopnia pokrewieństwa z osobami noszącymi rodowe nazwisko.

- Organizacja trzech Zjazdów i dwóch mniejszych spotkań. Jest to, jak wiecie, każdego roku w ostatnią sobotę i niedzielę sierpnia impreza integracyjna dla nas.

**Podziwiam Ich, szanuję ich pracę a jednocześnie bardzo, bardzo Im za to DZIĘKUJĘ!**

Żal mi, że żmudna praca tej **wspaniałej szóstki** pójdzie na marne, że wśród nas nie znajdują się kontynuatorzy, że mimo sporej ilości osób zalogowanych na naszej stronie internetowej nie jesteśmy na niej aktywni, proszę bardzo sprawdźmy ile i w jakim czasie każde z nas dokonało wpisu. na niej.

Nawet nie potrafiliśmy przekonać swych bliskich, by byli uprzejmi słać do Redakcji Strony informacji uzupełniających. Przecież to jest wspaniały materiał dla **przyszłych ewentualnych poszukiwaczy swych korzeni i powiązań rodzinnych**.

Przykre jest to, że wśród młodych ludzi, młodzieży i dzieci naszego **wielkiego Rodu**, nie potrafiliśmy wzbudzić zainteresowania swym pochodzeniem i historią..

**A efekt jest taki, że nie widać, by znaleźli się kontynuatorzy tych osiągnięć.**

**Cieszę się bardzo, że los pozwolił mi po raz piąty spotkać się z Wami. Wdzięczny jestem całej szóstce organizatorów za uzyskanie w tak krótkim czasie, aż tak ogromnych osiągnięć, oraz za te pięć wspaniałych spotkań.**

**Ale pozostaje pytanie: I CO DALEJ.....?**

Może ja się już zaliczam do nietoperzy: **Nie widzę nie słyszę, ale się czepiam?**

Mirosław Galczak

# Gadka Waldka - dziadka

---

**Kochani**

**„Pamiętny rok 2010”**

**C**zy nam się to podoba, czy nie podoba, weszliśmy do historii!  
Miną stulecia, a dzieci w szkołach nad Wisłą będą pytane, daj Boże jeszcze po polsku: - Co to takiego stało się tu, wtedy, w tamtym roku? Dlaczego? Jacy mieszkali tu ludzie?

Może nauczyciel każe im, odłączyć implantowane „chipy” od „centralnego mózgu” i główkować samodzielnie.

Przysłowie mówi: „Każdy jest kowalem swego szczęścia” To normalne. Czy zdajemy sobie sprawę, że jednocześnie wykuwamy doskonalszą lub spartoloną przyszłość dla narodu, dla dalekich naszych potomków?

Zmieniają się podstawowe wartości. Pytałem kiedyś gimnazjalistę: - Co to takiego „honor”? – Nie wiedział jak mi wyjaśnić. W szkole nie uczyli. A w domu? – Dziękuję. Wszyscy zdrowi.

Narody, podobnie jak człowiek, żyją i umierają, lub giną tragicznie. Trwa to tylko długo, nieraz bardzo długo. Czy dostatecznie dbamy o „zdrowie” narodu?

*Dosyć straszenia i gderania!*

Jeszcze nie jest źle. Wierzę, że w historii współczesnego nam okresu, zostaniemy ocenieni pozytywnie, nie będziemy (w zaświatach) się wstydzić. Przez zapowiadane, grożące kataklizmy, jeśli nadejdą, naród polski przejdzie silny i zahartowany, „MY NARÓD!...” Pamiętajcie te początkowe słowa, ważnego przemówienia? Bierzcie, co Wam przysługuje, w swoje ręce.

Cieszę się, że na tegoroczny „Zjazd Galczaków” zgłosiło się, przeszło 80 osób. To nie mało. Chociaż, poznaliśmy kilkaset noszących to nazwisko, lub ich potomków.

Włożono dużo wysiłku, na odnalezienie się i nawiązanie kontaktów. Dużo pracy wymagało, świetne przygotowanie i przeprowadzenie, kolejnych spotkań.

Jak zwykle, w naszym kraju, pracą są obciążeni stale ci sami „ochotnicy”. Chwała im i wielkie dzięki. Trzeba ich wesprzeć.



Waldemar Galczak(A311)

*Celem naszym było, poszukiwanie „korzeni” rodu i rodzinnych powiązań. Udało się dotrzeć, tylko do początku dziewiętnastego wieku. Nasi chłopscy przodkowie zapisywali się w parafialnych księgach tylko chrztem, ślubem i pogrzebem,. Więcej z nich nie wyczytamy.*

*Nadszedł czas. Trzeba radzić i zdecydować:., Co dalej? Czy poprzestać na corocznych spotkaniach towarzyskich? Może realizować nowe wspólne cele? Tylko, kto wesprze organizatorów, nowymi siłami? Może zakończyć na tym, co zrobiono i dać sobie spokój?*

*Tu muszę zaprotestować i wrócić do tego, co napisałem na wstępie. Co to ma wspólnego? Ano to, że znajdujemy się na zakręcie historii. Będą o nas pisali przez wieki. Od nas zależy czy źle czy dobrze. Czy zmienimy opinię, że trzech Polaków, to cztery różne zdania, że jesteśmy jak „słomiany ogień” i wiele gorszych..*

*Każda zorganizowana, solidarna grupa społeczna, działająca w duchu wiary przodków,*

naszej rodzimej kultury jest potrzebna.

Więź rodzinna, to coraz cieńsza niteczka, jeśli chodzi o coraz dalszych krewnych. Silniej łączy wspólne działanie w zespole. Wspólny cel. Jeszcze silniej razem, pomyślnie zrealizowane interesy. To ewentualny dalszy etap.

Nowe cele: Można poszukiwać dalej „korzeni”, lecz na wyższym poziomie. Na przykład, badać pochodzenie nazwiska „Galczak”. Hipotezy są różne: Od plemienia Gallów, czyli Celtów. Od nazwy grodu Halicz, wymawianej na Wschodzie „Galicz”. Od czasownika staropolskiego „galić”, czyli „służyć”. Co wybrać? Można włączyć się do poszukiwań, światowej organizacji, zajmującej się badaniem przemieszczania się gatunku „homo sapiens” na podstawie porównywania genomów ze szczątków ludzkich w starożytnych pochówkach i przedstawicieli współczesnych narodów. To ewentualne cele w kierunku badania PRZESZŁOŚCI rodu.

A co dla PRZYSZŁOŚCI następnych pokoleń? Tu, koniecznym jest, podjęcie twardej, zespołowej walki z otaczającymi zagrożeniami dla: ducha narodu, wiary i kultury, oraz środowiska naturalnego. Wreszcie obrona podstaw bytu i godnej pozycji, wśród narodów Świata.

Zagrożenia widać gołym okiem, na każdym kroku. Zastaniają je, lekceważą, lub przemilczają, niektóre, przekupne media.

Organizujcie się w grupy tematyczne! Przyłączajcie do sprawdzonych, istniejących! Tylko z rozmysłem. Unikajcie „fałszywych proroków”. Takie widziałbym cele, dla wykuwania szczęścia, naszym przyszłym pokoleniom, szacunku dla narodu i pozytywnej oceny nas przez historię.

Wydaje się, że potrzebny jest własny, tradycyjny środek przekazu, oprócz elektronicznego. Może jakiś comiesięczny „informator” o życiu i działalności. Chyba stać nas na niewielki wydatek, na pokrycie kosztów.

*Kochani!*

Sporo Wam natrułem. Głównujcie dalej. Tylko proszę: Doskonalcie, a nie niszczone tego, co już zrobione!

Niestety, starość nie pozwala mi być z Wami. Będę duchem.

Życzę wesołej zabawy, pogody w sercach i owocnych obrad.

*Wasz dziadek Waldek*

Warszawa, lipiec 2010

Redakcja:

W końcowej części (str. 34) naszego biuletynu przedstawiamy wspomnienia Waldemara Galczaka.

# Ważne spotkania



Ciocia Zosia z Legnicy była w szpitalu na wiosnę tego roku. Po udanej operacji długo wracała do zdrowia, ale dzisiaj czuje się, jak sama określiła podczas rozmowy telefonicznej, zupełnie nieźle.

Przykro jest, że nie może przyjechać, ale z Legnicy to 7 godzin jazdy, - *Zbyt męcząca to dla mnie podróż, ale gdybym mogła, to na skrzydłach bym przyleciała, żeby się z Wami spotkać.*

Ciocia uczestniczyła w obydwu zjazdach, każdy z nich, to duże przeżycie, wspomnienia, spotkania po wielu, wielu latach.

Dla wszystkich uczestników III Zjazdu Rodzinnego ma ciepłe i miłe słowa, każdemu życzy zdrowia i pomyślności.

- *Wierzę, że te spotkania są dla wszystkich ważne, nie pozwalają zapomnieć o rodzinie. Pamiętajcie o sobie i spotykajcie się jak często możecie.*

*Zofia Miernikiewicz*



# Jesteśmy Rodziną!

Od zawsze interesowała mnie przeszłość mojej rodziny. Obiecywałam sobie odnalezienie grobów, poznanie przodków, ale... gdy będzie trochę czasu. Może na emeryturze. Nie zdążyłam wypytać Dziadka Jutasa (A22), ale z Babunią (A22a) usiadłam kiedyś i spisałam wszystko, co pamiętała. Żeby kiedyś było od czego zacząć. Aż pewnego dnia zadzwonił telefon. Nie muszę streszczać tej rozmowy, bo większość z nas ją zna z własnego doświadczenia. To był oczywiście Wojtek. I tak się zaczęło. Zjazd, spotkania ...

Pamiętam wspaniałe lubrańskie czasy, kiedy miejscem spotkań bliższej i dalszej Rodziny był dom Dziadków i cała ulica, przy której żyło wiele kuzynek i kuzynów, z którymi bawiłam się we wczesnym dzieciństwie. Ktoś może powiedzieć, że te piękne wspomnienia mają swój urok, jako dni beztrudnego dzieciństwa. Z pewnością. Jednak człowiek tęskni to tych czasów, kiedy mianem Rodziny określało się nie tylko rodziców i rodzeństwo, ale wiele innych osób. To dawało poczucie bezpieczeństwa i tak wiele radości przy spotkaniach.

Teraz, dzięki kilku wspaniałym osobom z naszego Klanu mamy możliwość chociaż raz w roku spotkać się w naprawdę wielkim gronie. Nie znam innej Rodziny, która „działa” tak, jak nasza.

I znowu pewnego dnia zadzwonił telefon ... Tym razem był to mój cioteczny brat, z którym widuję się 2 -3 razy w roku, a dzwonimy do siebie jeszcze rzadziej. Usłyszałam: „Wiesz, mam dołek i tak sobie pomyślałam, że chciałbym pogadać ...” A ja sobie wtedy pomyślałam: jak to dobrze, że w takiej chwili ma się do kogo wystukać numer i człowiek nie jest sam. Ale brat miał dużo wątpliwości, czy powinien mi w takiej chwili zwracać głowę – każdy przecież ma swoje problemy, a po to jesteśmy dorośli, żeby sobie z nimi radzić samodzielnie. A ja sobie przypomniałam jeszcze coś z mojego życia. Zdarzyło się to 5 lat temu, gdy urodził się nasz Olek (A22133). Był 6 – miesięcznym wcześniakiem i na początku, nie ukrywam, byliśmy trochę przerażeni. Zadawaliśmy sobie miliony pytań: Czy przeżyje? Czy będzie rozwijał się normalnie? Czy będzie zdrowy? Nigdy nie zapomnę wsparcia psychicznego, którego udzielali mi Henia(A-1111b) i Wojtek(A1111) w tamtym czasie! Rozmawiali ze mną częściej, niż ktokolwiek inny. I tak się cieszyli, że pojawił się na świecie! A przecież w tamtym czasie nie znaliśmy nawet swoich twarzy, nic o sobie nie wiedzieliśmy. Ale byliśmy Rodziną! W tym miejscu, Kochani, chcę wam podziękować za to!

Tak więc Rodzina, to jedna z najważniejszych rzeczy na świecie. Wiem – to dla wszystkich jest oczywiste. Szczególnie dla tych, którzy chociaż ten jeden raz w roku chcą się spotkać. Ale zwróćmy uwagę na tych, którzy nie przyjeżdżają na nasze zjazdy. Dlaczego? Czy czasami nie jest tak, że jak ktoś miał trochę „pod górkę” w życiu, czy teraz mu się nie układa, to chowa się w swoim własnym świecie? To normalna reakcja każdego człowieka. Bo co powiem o sobie? Że nie udało mi się? Że przegrałem? Nie chcę nikogo urazić, ale cisną mi się na usta słowa: DO DIABŁA Z TYM!



*Agnieszka Froch*

Jesteśmy przecież Rodziną! Masz dołek życiowy? Nie ułożyło Ci się? Przykro mi ze względu na Ciebie. Jeżeli mogę pomóc – powiedz. Jeżeli chcesz pogadać – jesteśmy. A może po prostu posiedź z nami i pomilcz. W takim dużym gronie, jakie tworzymy (a to jest nasz wielki skarb!) zawsze znajdzie się ktoś, kto się nada do którejkolwiek z tych scen i miliona innych, które są Ci potrzebne. Ale najważniejsze, że jesteśmy razem.

Dlatego, Droga Rodzinko: rozmawiajcie z tymi, którzy nie chcą przyjeżdżać. Może dajcie im te parę moich słów do przeczytania. Zróbcie wszystko, co wydaje wam się sensowne, żeby nie tylko z pochodzenia należeli do Klanu, ale byli wśród nas fizycznie. To wiąże i pomaga, cokolwiek teraz myślą. Bądźmy Rodziną, która nie ocenia, nie krytykuje, bo każdy ma swoje życie i błędy do popełnienia. Ale dla każdego z nas może przyjść taki moment, że będzie trzymał słuchawkę i nagle okaże się, że nie ma do kogo wystukać numeru. Bo czasami z najbliższymi, z którymi jesteśmy w kontakcie na co dzień, tak trudno rozmawiać!

Przypomnijcie sobie, dlaczego Polska nie zginęła w trudnych dziejowych momentach swojej historii. Bo tak ważne i kultywowane były tradycje, chociaż było to trudne i niebezpieczne. Bo ludzie trzymali się razem, a nie każdy głowę w swojej kupce piasku.

Po tych kilku latach ciężkiej pracy naszych organizatorów wszyscy dołączamy się do wielkiej akcji  
**JESTEŚMY, DO CHOLERY, RODZINA, CZY NIE?!**

Agnieszka Galczak – Froch(A2213)

# Rodzina dzikich Frochów

Jesteśmy takim sobie przeciętnym zestawem 2+3 i dalsze nowe pokolenie. Może trochę bardziej dzicy, niż reszta. Największą dla nas frajdą jest dzicz, trochę wody, żeby zarzucić wędkę, trochę trawy (czy innego naturalnego podłoża), żeby zdjąć buty.



Dzicy od lewej: Olek, Agnieszka, Igor i Ola.

Mówi się, że każde kolejne dziecko jest przeciwieństwem poprzedniego. Jeszcze jeden mit, który można obalić. Jak twierdzi moja kochana druga połowa – nasze dzieci są obciążone genetycznie. Wszystkie od małego wisały na



Agnieszka



Darek

drzewach i płotach, lepiej się czują w dziczy, niż w cywilizacji. Co tu ukrywać: my z mężem też!

Zacznijmy od przedstawienia najstarszego pokolenia (ale nobliwie

to brzmi!). Chodzi o mnie i o mojego męża Darka.

Swoje szczenięce lata (te trochę już bardziej rozumne) strawiliśmy w harcerstwie. Najlepszy był namiot, las i ognisko. Ciągłe z plecakiem włóczyliśmy się po różnych miejscach w Polsce. Z czasem zajęliśmy się wychowaniem młodego harcerskiego pokolenia. Do dziś z Darkiem wspominamy z łezką w oku te gry wojenne, biegi patrolowe i obozy. Z tego wyrosliśmy. Darek dodatkowo jeździł ze swoim Dziadkiem Heniem na polowania i spędzał czas na wędkowaniu. Przyszło jednak dorosłe życie i trzeba było pomyśleć o pracy. Ja z pasją rzuciłam się w nauczanie, chociaż w dzieciństwie zarzekałam się, że nigdy w życiu. Przez 18 lat uczyłam młodzież, aż w końcu zdecydowałam się odejść z zawodu. Zmieniłam branżę na ochroniarza. Całe życie marzyłam o mundurze i widać na starość było mi to pisane. Teraz rzadko mi się zdarza pracować czynnie. W pewnym sensie wróciłam do nauczania, ponieważ prowadzę kursy. Przede wszystkim szkole nowe pokolenie pracowników ochrony, ale organizuję też inne szkolenia. Ciągłe dzieje się coś nowego, więc trudno się nudzić. Kiedy nie mam klientów – zajmuję się domem, a przede wszystkim kuchnią. Chociaż mało we mnie z kury domowej, to pichcić lubię, co doceniają moi najbliżsi (szczególnie zimą, gdy wyjadają zrobione przeze mnie przetwory).

Darek, jako że jest człowiekiem czynu, ciągle pracuje. Jest elektrykiem. Ma też firmę, która, oprócz usług elektrycznych, dostarcza Internet radiowy. Ciągłe więc w ruchu. Jak jednak ma już wszystkiego dość – rusza nad wodę z kijem. Jak prawdziwy wójownik – poluje na obiad.

Takie życie w ciągłym ruchu przekazaliśmy dzieciom w genach.

Najbardziej dziki jest najmłodszy – Olek. Od urodzenia mieszka bowiem poza miastem. Nie ma w tym krzty przesady, że najpierw szczeakał i pilnował płotu razem z psami, spędzał czas w budzie, próbował załatwiać się jak pies, a dopiero potem powiedział „mama”. Teraz najczęściej chodzi na dwóch nogach i mówi ludzką mową, ale chwilami wraca do czasów wczesnego dzieciństwa. Po tym opisie nie warto nawet wspominać, że płoty i drzewa są dla niego równie naturalne,

jak dla innych chodniki. A powie dzieć mu tylko, że wyruszamy na wyprawę... Już siedzi w samochodzie, bo wie, że



Olek

więcej przestrzeni, a nie chodzenie po mieście. W tej chwili, gdy ma 5 lat, największym marzeniem tego młodego człowieka jest zostać strażakiem. Chociaż, jak każde dziecko, lubi zabawki, to warsztat Taty, czy inny kij, jest dla niego najlepszy. Powiniście też zobaczyć jego profesjonalne zarzucanie wędki! Najlepszym prezentem są dla niego żywe ryby, które może „oprowadzać” po ogrodzie i całować. Żabą, czy innym robaczkiem też nie pogardzi.



*Przepraszamy za odwrócone zdjęcie, widocznie fotograf źle trzymał aparat. Odwróćcie biuletyn.*

Żeby się wyrwać – jechaliśmy 2-3 stacje pociągiem i szliśmy na pola. Były też wyprawy w góry na szlaki. Tam zaczął zdobywać odznaki GOT. Jako 7-letni chłopak w 5 dni przeszedł całe Bieszczady, zaliczając wszystkie szczyty po kolei. Od pierwszej klasy szkoły podstawowej zajmuje się czynnie sportem. Były 4 lata judo, teraz jest capoeira brasil. Między tymi zajęciami – gra w szachy z wyjazdami na turnieje w całej Polsce i żeglarstwo. Gdy ma chwilę czasu, to jak każdy normalny nastolatek usiadzie do komputera, ale zwykle doba jest za krótka, bo wokół domu też ma swoje prace do wykonania.

Igor w dzieciństwie marzył o zostaniu paleontologiem, jednak w trakcie nauki „pogniewał” się z historią i jest to mało realne. Teraz zaczyna naukę w szkole ponadgimnazjalnej i ... zgodnie z tradycją rodzinną wybrał „Elektryk”. W końcu od momentu powstania tej szkoły we Włocławku nie było takiego okresu, żeby nie chodził lub nie pracował w niej ktoś z naszej Rodziny.

Ola, to też dzikus, dla którego siedzenie na drzewie było bardziej naturalne, niż kocyk na trawie. Zanim dorosła musiała jej wystarczać działka i wyprawy na ryby. Teraz jakoś się ucywilizowała i nawet zamieszkała w dużym mieście. Wybrała jednak Bydgoszcz, gdyż jest tam dużo możliwości kon-



Ola tylko tak groźnie wygląda

Średnie, już nie koniecznie dziecko, to 16-letni Igor. Tego z kolei, oprócz opisanych wyżej zachowań, ciągnie do aktywności fizycznej. Gdy był mały, mieszkał jeszcze w mieście.

taktu z przyrodą. Dzisiaj to już Pani Aleksandra, która wychowuje nowy rodzinny narybek – córeczkę Wiktorię. Jednocześnie studiuje turystykę i rekreację, co dużo mówi o tym, w jaki sposób widzi swoją przyszłość. Męża wybrała sobie bardzo dobrze, bo pasuje tak do dzikiej Rodziny, jak i do jej upodobań. W narzeczeństwie ciągle ich gdzieś nosiło. Musiało być coś nowego, inni ludzie i miejsca. Po urodzeniu dziecka niewiele się zmieniło. Wygląda więc, że z kolei Ola i Bartek przekazą następnemu pokoleniu zamiłowanie do podróży. Bartek jest na tym samym kierunku, co Ola. Oprócz tego interesują go (zarówno w teorii, jak i w praktyce!) kulinaria. Bardzo lubię, jak u nas są, bo z przyjemnością idzie do kuchni, a ja podglądam. Myślę, że wzajemnie doceniamy swoje talenty w tej materii. Poza tym Ola i Bartek lubią to, co ich rówieśnicy: nowe filmy, muzykę i taniec. Dziecko, chociaż wraz z jego narodzinami przybyło obowiązków, nie ogranicza ich życia towarzyskiego. Są jednak dobrymi i odpowiedzialnymi rodzicami, a swoich obowiązków w tym względzie nie zrzucają na innych. Gdy tylko mogą uprawiają sport. Swoim zachowaniem pokazują, że nowe pokolenie może być wspaniałym uzupełnieniem życia, a nie je ograniczać.

No i nasza Księżniczka Wiktoria. Ciekawskie małe stworzonko, które urodziło się w styczniu tego roku już jako kilkumiesięczna niemowlę (ważyła bowiem prawie 5 kg!). Bardzo szybko doszła do wniosku, że fakt ten trzeba wykorzystać i po 3 tygodniach zarzuciła tryb życia noworodka na rzecz aktywnego poznawania świata. A że ten był mało ciekawy z perspektywy leżenia i siedzenia – w tej chwili stawia już swoje pierwsze kroczki! Trudno mówić o zainteresowaniach Wiktorii, ale już można stwierdzić, że ciekawsze wydaje się jej otrząsanie liści z drzew i niszczenie ogrodowych roślin, niż grzechotka. Po prostu rośnie kolejny dzikus, na co mam szczerą nadzieję, gdyż w tej rodzinie nikt by nie wiedział, jak wychowywać grzeczne i spokojne dziecko!



*Bartek, kolejny dziki w rodzinie*



*Wiktorię można sfotografować jedynie w czasie snu. W innych sytuacjach aparat nie nadaża.*

*Agnieszka Froch*

# Wiktor Galczak

---



Jestem Galczakiem. Mam na imię Wiktor. Na naszym drzewie genealogicznym mam numer 111121.

Urodziłem się w Warszawie 15 lipca, w 593 rocznicę Bitwy pod Grunwaldem.

Po wakacjach będę

bie. Ja jestem I-szym Oficerem.

Jeszcze nie wiem, kim będę gdy dorosnę. Może żołnierzem, lotnikiem, albo żeglarzem, bo żeglarstwo też mnie kręci.

Mam młodszego braciszka Piotrusia, bardzo go kocham, bawię się z nim i opiekuję, bo jest jeszcze mały.

Lubię jeździć na spotkania Galczaków i bawić się z moimi bliskimi i dalekimi kuzynami!

Przymiarka prawdziwego lotniczego hełmu, może więc lotnikiem...

chodził do szkoły, do 1 klasy, gdyż mam już 7 lat.

Dziadek Wojtek kocha lotnictwo, czasem idę z nim do pracy, ale ja nie pracuję, tylko patrzę co robi dziadziś. Wtedy mam okazję zobaczyć z bliska różne samoloty. Bardzo mnie to interesuje. Mój tata Jakub jest żeglarzem i razem pływamy na naszej łaj-



Tata Jakub melduje I oficerowi o stanie wody na akwencie

---

# Agata Galczak



Mam na imię Agata. Skończyłam trzynaście lat. Pochodzę z gałęzi Andrzeja i jestem tam umieszczona pod numerem A11132. Mieszkam z rodzicami we Włocławku

W tym roku szkolnym rozpocznę naukę w gimnazjum. Interesuję się tańcem młodzieżowym oraz muzyką młodzieżową. W wolnym czasie jeżdżę na rowerze, czytam także książki. Lubię dobrą zabawę i sport.

W szkole podstawowej byłam reprezentantką piłki siatkowej oraz w biegach na wszystkie dystanse. Myślę, że w gimnazjum będę kontynuować moje ulubione dyscypliny sportu.

Podczas wakacji, z rodzicami wyjeżdżamy do wcześniej zaplanowanych miejsc. W tym roku zwiedzaliśmy Węgry, a także wypoczywaliśmy tam. Pogoda dopisywała, więc korzystaliśmy z basenów. Było fajnie.

# Alex Nalbantoglu

Urodziłem się w Anglii w 2005 r. Moja babcia, Maria Obrębska, zanim wyszła za mąż za dziadka, to nazywała się Galczak(A1131). Oboje mieszkają we Włocławku, a ja z rodzicami w Anglii. Jeśli chcecie mnie znaleźć na drzewie genealo... Nooo..., na tym drzewie, to szukajcie pod numerem A113121.

W Anglii chodzę do szkoły. Od września będę chodził dodatkowo do polskiej szkoły. Ale i teraz potrafię rozmawiać po polsku.

Lubię przyjeżdżać do Polski, do babci i dziadka, bo tu mi się podoba i jest fajnie.

Bardzo lubię czytać książki i oglądać bajki, a uwielbiam kolorować malowanki. Mama mi często kupuje takie książeczki.

Mam wielu kolegów i gdy się spotykamy, to bawimy się oraz wygłupiamy. Jest wtedy wesoło.

Lubię oglądać mecze koszykówki i piłki nożnej. Ja też gram z kolegami w nogę, nawet nieźle mi to wychodzi. Może gdy dorosnę, to zostanę piłkarzem?



# Bartosz i Ewa Kamińscy

Jestem Bartuś(A32431). Mam 4 latka i małą siostrzyczkę Ewę (A32432). Moja mama ma na imię Kasia, a tata Paweł. Kocham ich oboje.

Chodzę do przedszkola, ale teraz mam wakacje, więc chodzę z mamą i Ewą na plac zabaw. Lubię się bawić samochodami, czytać książki. Lubię również bawić się w gotowanie na balkonie, bo tam mam bar.

Gdy będę duży, to chcę być sanitariuszem, bo sanitariusz wozi karetką chorych albo rannych.

Moja kochana Ewcia jest malutka, ale ja ją rozumiem.

Wiem już wszystko, co ona chce. Jest grzeczna, a czasem nie.

No i koniec.....może być koniec mamo?

Tyle powiedział o sobie Bartosz. A teraz małe uzupełnienie informacji.

Bartosz lubi „czytać” książki, tworzy własne opowieści i bardzoooooo dużo mówi. Uwielbia dyskutować, często zaskakuje swoimi przemyśleniami i spostrzeżeniami nie tylko nas, rodziców. Jest komunikatywny i nie ma problemu z nawiązywaniem nowych znajomości.

Jeszcze do niedawna uwielbiał opowieści o lokomotywie Tomku i innych pociągach, a ostatnio jego bohaterem jest Spiderman.

Ewa ma rok i 4 miesiące. Jest małym „rozbójnikiem”, który wciąż biega po domu i kombinuje, co tu zbroić. Uwielbia tańczyć i bawić się z bratem. Lubi wozić swoje lalki i inne przytulanki w wózku, ale również bawić się samochodami i grać w piłkę. Jak przystało na prawdziwą kobietę lubi także się stroić, obwieszać koralami i przeglądać w lustrze.



# Paula Duszyńska

(A112211)

Zrodziną Galczaków jestem spokrewniona ze strony Taty.

Pochodzę z gałęzi Andrzeja.

Mieszkam wraz z mamą w Poznaniu i tu uczęszczam do 3 klasy gimnazjum. Nauka nie sprawia mi zbyt dużych trudności, ale starałam się i na koniec roku szkolnego otrzymałam świadectwo z czerwonym paskiem.

W przyszłości chciałabym, aby zawód mój związany był z wizażem lub architekturą. Moim hobby jest sport. Bardzo lubię siatkówkę, zastanawiałam się nawet nad grą w klubie.

Kocham małe dzieci, niestety nie mam siostry ani brata, ale po wakacjach mam zamiar uczyć się do domu dziecka jako wolontariuszka.

Wakacje i ferie spędzam we Włocławku. Często wtedy zwiedzam ciekawe miejsca na Kujawach, albo jeździmy do Oświęcimia, Krakowa, w góry, bo w tamtych stronach dziadek Mietek ma rodzinę.

Część tegorocznych wakacji spędziłam już z mamą w Bułgarii. Nastawialiśmy się na odpoczynek od szkoły i pracy i to się nam udało.

Większość czasu zamiast na leżaku spędzałam w wodzie oraz na zjeżdżalniach i świetnie się bawiłam. Wolny czas bardzo lubię spędzać z przyjaciółmi, słuchać muzyki i rysować.



# Kinga Dolatowska

(A124541)

Zrodziną Galczaków jestem spokrewniona od strony dziadka Władysława Dolatowskiego.

Mieszkam z rodzicami i dziadkami w Smogorzewie, niedaleko Lubrańca. Do szkoły chodzę do Kłobi. Po wakacjach rozpocznę edukację w drugiej klasie Szkoły Podstawowej.

Nie mam rodzeństwa, więc wolny czas lubię spędzać z kolegami, a także z moim kotkiem.

Wraz z rodzicami, babcią i wujkiem Arkiem przyjeżdżam na wszystkie Zjazdy Rodzinne i Spotkania. Lubię je, ponieważ jest wesoło i mam okazję spotkać się z całą, dużą rodziną.

# Julia Pączkowska

Nazywam się Julia Pączkowska. S161111, to mój numer na drzewie genealogicznym.

Moi rodzice, to Ania i Jarosław. Mieszkamy we Włocławku.

Babcia Marysia jest z domu Galczak(S1611) .

Chodzę do przedszkola „Kujawska Przystań”. Uczymy się tam o kujawskich tradycjach, śpiewamy ludowe piosenki. Najpiękniej jest, gdy podczas uroczystości przedszkolnych występujemy w bardzo ładnych strojach kujawskich.

Moja babcia opiekuje się mną, gdy rodzice są w pracy. Bardzo lubię z nią spędzać czas, bo chodzimy wtedy na wycieczki po mieście. Byliśmy w muzeum i w teatrze. Babcia pozwala mi chodzić po kałużach, ale oczywiście w kaloszach, a latem jeździmy autobusem nad jezioro Wikaryjskie, urządzamy pikniki na stadionie, w lesie... Bardzo lubię te wycieczki. A najbardziej to lubię jeść lody, nawet 5 dziennie. Lubię poznawać ich nowe smaki.

Uwielbiam tańczyć z moim tatusem. Na urodzinach cici Wandzi nauczył mnie tańczyć walca.

Pozdrawiam całą Rodzinę Galczaków

Julcia



## Maksymilian Waszkiewicz (31711)



Moim pradziadkiem był Kazimierz Galczak (31). Z rodziną Galczaków spokrewniony jestem od strony mamy,

Mieszkam w Warszawie na Ursynowie. Właśnie skończyłem studia licencjackie na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, na kierunku Historia. Planuję przenieść się na studia magisterskie na Uniwersytet Warszawski. Pracę licencjacką pisałem o chrystianizacji Pomorza Zachodniego w XII w. Interesuje mnie wczesne średniowiecze, zwłaszcza zachodnia słowiańszczyzna (Pola i Polska), wraz z mitologią, kulturą itp. Staram

się brać udział w różnego rodzaju konferencjach studenckich (m.in. na Uniwersytecie Jagiellońskim – W sesji mediewistycznej studentów) i tam publikować swoje prace.

Oprócz zainteresowań naukowych lubię fantastykę i SF (książki, filmy, gry RPG).

Mam młodszą siostrę Weronikę, która uczy się w liceum im. J. Poniatowskiego w Warszawie. Należy też do ZHP (Szczep186 WDHiZ, Gniazdo im. J. Bema) do którego onegdaj sam należałem. Weronika interesuje się historią sztuki, malarstwem, rysunkiem (sama sporo maluje i rysuje).

Mamy dwa pieski – Kikę i jej córkę Fredzię – aczkolwiek Kika ma już 17 lat i jest baaardzo stara.

W przyszłości planuję ukończyć studia doktoranckie, i rozpocząć pracę naukową. Plany Weroniki nie wykraczają na razie poza zdanie matury (właśnie przeszła do III klasy).



# Żaneta i Klaudia Zagórowskie

(F161141 i F161142)

**Jesteśmy spokrewnione z rodziną Galczaków od strony taty. Mieszkamy w Sompolnie.**

## Żaneta

**S**tudiuję w Koninie - kierunku Politologia. Lubię czytać książki o tematyce miłosnej, a także science-fiction.

Moją ulubioną grą jest bilard a zajęciem fotografowanie.

Mam młodszą o 5 lat siostrę Klaudię.

Mamy zwierzątko, pieska, który wabi się Boni.

Niedawno ukończyłam kurs prawa jazdy z wynikiem pozytywnym.



## Klaudia



**D**o gimnazjum chodzę w Sompolnie. Obecnie ukończyłam drugą klasę. Mam wiele koleżanek i kolegów, z którymi spotykam się codziennie.

Moimi zainteresowaniami są: fotografowanie, pływanie, granie w piłkę.

Mam starszą siostrę Żanetę,

która studiuje w PWSZ w Koninie.

Nasz piesek uwielbia się ze mną bawić i biegać za piłką.

# Joanna Daroszevska

(255111)

**Z**rodziną Galczaków jestem spokrewniona ze strony mamy – Urszuli. Prababcią moją była Zofia Galczak(A255). Mieszkam w Lubrańcu i tu chodzę do szkoły. W tym roku rozpoczynam naukę w 3 klasie gimnazjum.

Mam wiele zainteresowań: lubię fotografować przyrodę, tańczyć, rysować. Często robię projekty domów i ich wnętrz. Swój wymarzony dom mam już zaprojektowany.

Chciałabym iść na studia związane z architekturą. Lubię też jeździć na wycieczki i zwiedzać zamki oraz podziwiać architekturę z różnych okresów.

Na zakończenie roku szkolnego, jako nagrodę otrzymałam książkę pt. „Wenecja perła Adriatyku”. Bardzo mi się spodobała. Jest to cudowne miasto, które zamierzam w przyszłość zwiedzić. Zaciekało mnie swoją bogatą kulturą. Przedstawione są tu godne obejrzenia zabytki, jej urokliwe kanały i mosty, pełne magii zakątki i detale architektoniczne, a także życie mieszkańców.

Z koleżankami i kolegami ze szkoły jeździmy na wycieczki. W tym roku szkolnym byliśmy w Golubiu-Dobrzyniu. Spędziliśmy na zamku noc, ale Biała Dama nas nie postraszyła.

Czas wolny spędzam na czytaniu książek, słuchaniu muzyki lub bawię się ze swoim młodszym braciszkiem Wojtusiem, którego bardzo kocham i pomagam rodzicom w jego wychowaniu.

W wakacje codziennie wieczorem spotykamy się z jego i moimi rówieśnikami. Gramy często w piłkę, jeździmy na rowerach.

Wojtuś bardzo lubi opiekować się małymi zwierzątkami i owadami. Przynosi w pudełku do domu ślimaki. Nieraz robimy im zdjęcia. Brat może będzie w przyszłości weterynarzem?

W wakacje zamierzam przeczytać całą sagę „Zmierzchu”. Kończę już II tom. Nie mogę doczekać się, kiedy pojedę do kina na 3 część „Zmierzchu-Zaćmienie”.

Mój ulubiony zespół muzyczny, to Tokio Hotel. Najbardziej podobają mi się ich piosenki. Wiele osób ich nie lubi, bo dziwnie się ubierają i malują. Widać to w Internecie, ale przecież, która gwiazda nie robi różnych dziwnych rzeczy, żeby tylko zdobyć popularność. Piosenki wpadają mi w ucho i świetnie się przy nich relaksuję. Mam w planie zakup nowego albumu z trasy koncertowej „Humanoid City Live”.

Lubię przyjeżdżać na nasze spotkania rodzinne. Już nie mogę doczekać się najbliższego zjazdu, chociaż będzie to oznaczać koniec wakacji. Ale kto by nie chciał tak świętować ostatnich wolnych dni od szkoły.





# Jarosław Sobieraj

(25512)

**B**abcią moją była Zofia Galczak (A255). Jej synem Stanisław, mój ojciec.

Mieszkam wraz z rodzicami w malowniczym miasteczku, Lubrańcu, położonym na Kujawach, ok. 20 kilometrów od Włocławka.

Babcię Zofię bardzo dobrze pamiętam, ponieważ jako kilkuletni chłopiec, w czasie wakacji, przychodziłem do niej razem z rodzicami, a także do dziadka Kazimierza.

Babcię Zosię będę pamiętała zawsze, jako uśmiechniętą i serdeczną, starszą kobietę. Pamiętam, że zawsze chodziła w ręcznie uszytej chustce na głowie.

Gdy tata przychodził z pracy, jadł obiad i całą trójką wybieraliśmy się na rowerach, na tzw. „działkę”. Mieszkaliśmy jeszcze wtedy w bloku, także takie wypadki poza miasto, na łono natury, były dla nas jak wczasy na Majorce.

Dobrze pamiętam ten czas. Jest to okres mojego dzieciństwa, a więc tego czasu nie można zapomnieć. Mam miłe wspomnienia z tamtych lat. Pamiętam, jak babcia powtarzała, że wyglądam jak „szlachcic”. Mama zawsze starała się ładnie mnie ubierać. Byłem dobrze odżywionym i zadbanym dzieckiem. Gdy miałem 6 lat, zmarł dziadzia Kazimierz, miał 88 lat. Natomiast rok później zmarła babcia Zosia. Babcia dożyła 84 lat.

Babcia bardzo lubiła pisać wiersze. Zapisała nimi kilka brulionów. Były to najczęściej wiersze o miłości i otaczającym nas świecie. Babcia zawsze chciała w nich zawrzeć też część siebie.

Moim zdaniem była prostą kobietą, ale o wielkim sercu i romantycznej duszy. Mogę śmiało powiedzieć, że babcia miała dar w postaci proroczych snów. Wiele z tych snów, sprawdziło się. Tak zapamiętałem babcię Zosię i będę ją bardzo ciepło wspominał.

Jeśli chodzi o mnie, to szkołę podstawową, gimnazjum, a także liceum kończyłem w Lubrańcu. Do przedszkola nie chodziłem, czego specjalnie nie żałuję. Maturę zdałem pozytywnie, bez poprawki, z czego się cieszę. W ubiegłym roku, w wakacje, zdałem egzamin na prawo jazdy. To był już mój drugi sukces. Obecnie studiuje w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej we Włocławku, na kierunku Stosunki Międzynarodowe, specjalność komunikacja międzykulturowa. Wybrałem ten kierunek studiów, ponieważ interesuje mnie polityka, związana z nią dyplomacja, a także kultura i historia innych krajów i narodów. W przyszłości chciałbym zostać ambasadorem na placówce dyplomatycznej, w kraju, w którym mógłbym poznawać kulturę i obyczaje, mieszkających tam ludzi, a także podzi-

wiać architekturę i dorobek materialny tego narodu. Na razie nie wiem, którymiabym być to kraj, ponieważ jest wiele ciekawych miejsc na świecie. To są jednak na razie tylko marzenia i plany, bo nie wiem, jak potoczy się moje życie i na jakie tory zepchnie mnie los.

Na razie korzystam z życia. Interesuję się wszystkim po trochu. Sporo czytam i staram się poszerzać moje horyzonty myślowe. Moim konikiem, oprócz polityki, jest motoryzacja, którą traktuję raczej, jako hobby, niż jako sposób na zarabianie pieniędzy w zawodzie np. mechanika samochodowego.

Mógłbym jeszcze wiele pisać o sobie i o moim krótkim życiorysie. W końcu jestem rówieśnikiem demokracji i od 20 lat wolnej Polski. 2 Lipca, skończyłem 20 lat. Jedni mówią, że to szmat czasu, inni natomiast twierdzą, że 20 lat to nawet jeszcze nie przedsmak życia. Ja osobiście zgadzam się z tymi drugimi i mam nadzieję, że czeka mnie wiele pięknych i ciekawych momentów. Zdaję sobie też sprawę z tego, że życie to nie tylko radości, ale także i smutki. Jednak jak śpiewał nam nieżyjący już niestety, znany polski artysta Marek Grechuta, „.....ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy, ważnych jest kilka tych chwil, tych, na które czekamy.....”

Czekając wyłącznie na te dobre chwile.

Pozdrawiam serdecznie całą rodzinę.

Jarek Sobieraj



# Kinga Krajewska

(A132611)

# Iga Krajewska

(A132612)

Kingę i Igę przedstawia, ich ciocia, Elżbieta Duszyńska-Ćwiklicka.  
Same, będąc bardzo skromnymi, niewiele chciały o sobie napisać.

Znamy je przede wszystkim, jako „solistki z Lubrańca”, które śpiewaniem uświetniają nasze zjazdy i spotkania rodzinne.

A tu okazuje się, że Kinga (A132611) ukończyła w tym roku szkołę podstawową, której przez okres dwu lat była przewodniczącą. W tym roku rozpoczyna naukę w gimnazjum.

Gra w szkolnym zespole siatkarek UKS VICTORIA Lubraniec, którego osiągnięcia to: I miejsce w Powiatowym Samorządowym Turnieju Gmin w Piłce Siatkowej i IV miejsce w Wojewódzkich Mistrzostwach Mini Piłki Siatkowej Dziewcząt.

Otrzymała Puchar za udział w Regionalnej Lidze Mini Siatkówki Dziewcząt, zdobyła I miejsce w Turnieju Klas Szóstych w Ciechocinku.

Sport, to jedno z wielu zainteresowań Kingi. Uczestniczyła także w Konkursie Wiedzy o Unii Europejskiej, gdzie zdobyła I miejsce.

Bardzo lubi grać na gitarze i śpiewać. To hobby rozwija poprzez śpiewanie w kościelnej SCHOLI. W Międzynarodowym i Ogólnopolskim Konkursie Pieśni Religijnej w Łodzi zajęła IV miejsce, a na Przeglądzie Piosenki Harcerskiej miejsce I. Ale to jeszcze nie wszystko, bo w konkursie znajomości języka angielskiego zajęła II miejsce i oprócz śpiewania jest to jej bardzo ważna pasja, z którą na dzień dzisiejszy wiąże swoją przyszłość.

W rozmowie nadmieniała, że chciałaby pracować, jako tłumacz, może pedagog, ale śpiewać na pewno nie przestanie. Od jej babci Irenki wiem, że na koniec roku szkolnego Kinga otrzymała sześć dyplomów, a od Burmistrza Lubrańca wyróżnienie za promowanie miasta poprzez udział w konkursach i zdobywanie wyróżnionych miejsc.

Kinga jest bardzo przyjacielska, ma wiele koleżanek i kolegów, jeździ na wycieczki, obozy szkolne, a z rodzicami oraz młodszą siostrą Igą na wakacyjne wczasy.

I kiedy ta młoda dziewczyna ma jeszcze czas na naukę? Po sukcesach widać, że jest bardzo zdolna i świetnie zorganizowana. Na tegorocznym świadectwie szkolnym jest piękny czerwony pasek.



Iga ma 9 lat, w tym roku szkolnym rozpocznie naukę w III klasie Szkoły Podstawowej w Lubrańcu.

Tak jak starsza siostra ma wiele zainteresowań i pasji. Bardzo lubi śpiewać. Mimo tak młodego wieku brała już udział w Międzynarodowym Ogólnopolskim Konkursie Pie-

śni Religijnej w Łodzi. W konkursie - „My się zimy nie boimy, razem świetnie się bawimy” piosenką pt. „Kulig” wyśpiewała I miejsce.

W ubiegłym i w tym roku zajęła I miejsca w konkursach recytatorskich we Włocławku, podczas których reprezentowała Szkołę Podstawową z Lubrańca. W kwietniu br. zajęła III miejsce w konkursie, „Mały talent to ja”, który także odbywał się we Włocławku. Śpiewa również w kościelnej SCHOLI.

W maju Iga przystępowała do I Komunii Św. Podczas tej uroczystości przepięknie odśpiewała psalm. Miałam okazję słuchać jej śpiewu, gdyż uczestniczyłam w tej uroczystości.

Babcia Irenka, fryzjerka z zawodu, uczesała wnuczkę, aby ładnie się prezentowała i tak było. Podobnie jak starsza siostra, Iga otrzymała od Burmistrza Lubrańca wyróżnienie za promowanie miasta poprzez udział w konkursach i zdobywanie wyróżnionych miejsc. Na wszystko znajduje czas. Na zabawę z koleżankami, na wycieczki z babcią, ponadto wraz z Kingą pomagają w domu, gdyż mama i tata pracują.

Za bardzo dobrą naukę dostała od swojej wychowawczynie nagrodę.

Iga bardzo lubi śpiewać i tańczyć. Zdradziła mi, że w tych dziedzinach chciałaby się rozwijać.



Gratulacje dla rodziców za takie córki, a nam niech śpiewają na wszystkich zjazdach i spotkaniach.

# Moja rodzina

(A13232)

O swojej rodzinie pisze Agnieszka Balcer

**D**o rodziny Galczaków dołączyłam w 1990 roku wychodząc za mąż za Krzysztofa Balcera. Mamy dwie córki: Klaudię i Zuzannę. W wolnych chwilach całą rodziną rozwijamy nasze pasje i talenty.

Klaudia jeszcze trzy lata temu interesowała się malarstwem. Z tą dziedziną wiązała też swoją przyszłość. Z powodzeniem brała udział w wielu konkursach plastycznych oraz tworzyła piękne obrazy dla rodziny i znajomych. W ogłoszonym przez nasze miasteczko konkursie na logo z okazji 500-lecia nadania praw miejskich zajęła I miejsce.

W tym roku Klaudia ukończyła IX Liceum Ogólnokształcące w Toruniu z bardzo dobrym wynikiem (średnia ocen – 5,19). Ciężka praca, jaką wkładała w naukę została także nagrodzona ministerialnym stypendium. Teraz planuje studia związane z zarządzaniem i finansami.

Młodsza córka Zuza właśnie kończy gimnazjum. Od najmłodszych lat kochała zwierzęta, a od około czterech jej pasją są konie. Zuza trenuje skoki i ujeżdżanie. W tychże dyscyplinach osiąga coraz lepsze wyniki. W tym roku wybrana została do kadry wojewódzkiej, a dzięki udziałowi w zawodach na szczelnie ogólnopolskim, ma duże szanse, aby reprezentować polskie barwy. Zuzia posiada cztery konie, z których najukochańszym jest jej pierwszy – Kenzo de Blue. W opiece nad nimi pomaga jej tata. I jego wciągnęło „końskie” hobby.



Krzysztof, Agnieszka i Klaudia

sprawy Klaudii. Należał bowiem do rady rodziców i rady szkoły. W wolnych chwilach Krzysztof lubi, wraz z naszym psem – Silverem, łowić ryby i chodzić na spacerach.

Ja natomiast, poza tym, że wspieram ich duchowo, zajmuję się tworzeniem tortów, co daje mi ogromną satysfakcję. Wykonując je na zamówienie staram się, aby każdy był niepowtarzalny i wyjątkowy. Smaki i dekoracje dobieram wedle gustów klientów i solenizantów.

Pozdrawiamy całą rodzinę.



Krzysztof wiele czasu spędza w stajni, gdzie pomaga córce w cięższych pracach. Jeździ z nią także na zawody. Angażował się również w licealne

Zuza uwielbia jazdę konną



# Żelo i Boski

O swoich synach pisze Kasia Balcer.

## Artur Kosowski (A132311)

To dusza artysty, chłopak – jak sam o sobie mówi – żyjący chwilą. Od 10 lat trenuje taniec towarzyski to jego pasja i zamiłowanie. Na co dzień jest „lekkokręcony” czasami zapomina o różnych rzeczach, ale gdy tańczy to natychmiast się przeobraża - sylwetka wyprostowana, płynne ruchy, po prostu widać, że żyje tańcem.

Uczestniczył w wielu turniejach tańca towarzyskiego zajmując medalowe miejsca.

Uczy się nieźle, chociaż nie wszystkie przedmioty są jego ulubionymi. Jest też bardzo aktywny sportowo. Przez siedem lat trenował piłkę nożną w Uczniowskim Klubie Sportowym „GUMKA” (Wojewódzka Liga Piłki Nożnej – Młodzicy). Bierze udział w różnych konkursach.

W Ogólnopolskim Konkursie Wierszy o Kardynale Wyszyńskim, jego wiersz (zamieszczamy na str. 9) nagrodzony został II miejscem.

W tym roku ukończył gimnazjum, a od września rozpoczyna naukę w LO nr 4. Co będzie robił później – jeszcze nie wie, ale przez 3 lata może się ukierunkuje.

Jest bardzo komunikatywny, koleżeński i bardzo lubiany przez koleżanki i kolegów. To zaleta, ale i czasami wada.

Artur nigdy nie odmawia pomocy kolegom i gdy coś obieca ja muszę wtedy dopilnować, aby obietnica została zrealizowana.

W szkole miał „ksywę” BOSKI. Tak kiedyś powiedziały o nim koleżanki: *Artur jesteś bo-oosssskiii* – i tak zostało.



## Grzegorz Kosowski (A132312)

Grzesio, to już trochę inny chłopak. Ma bardziej zadziorny charakter, wie czego chce. Uczestniczył w Turnieju Piłki Nożnej we Włoszech 2006. Obecnie gra w drużynie koszykarskiej UKS DUET. Tak jak starszy brat brał udział w różnych zawodach i konkursach.

W 2008 r w II-iej edycji Ogólnopolskiego Konkursu - „W Polsce bije serce świata” (N. Davies) – a czy Twoje serce bije dla Polski? w kategorii literackiej otrzymał



II nagrodę. Jego wiersz (zamieszczamy na str. 4) o ziemi kujawskiej został nagrodzony I miejscem przez Kujawsko-Pomorskie Kuratorium Oświaty Grzegorz reprezentuje Gimnazjum nr 4 we wszystkich możliwych zawodach sportowych. W 2006 r brał udział, jak i brat, w Turnieju Piłki Nożnej we Włoszech.

Jest bardzo ambitny. Żeby dostać dobrą ocenę potrafi poświęcić dużo czasu na naukę. W tym roku miał wysoką średnią - 4,75.

W przyszłym roku chciałby dostać się do LZK. Już w ubiegłym roku, podczas pobytu w Warszawie, pojechał oglądać uczelnię, na której chce studiować. Dowiedział się ile kosztuje akademik, wynajęcie pokoju oraz gdzie będzie mógł dorobić jako student. Wybrany kierunek i przyszły zawód to - komentator sportowy.

Grzegorz już ma dużą wiedzę, właściwie o wszystkich dyscyplinach sportowych, zna nazwiska, drużyny, wyniki. Jest zaradny i oszczędny. Potrafi odłożyć dużo pieniędzy odmawiając sobie czasami różnych nie zawsze zbędnych rzeczy. Od 8-9 lat jest znany, jako „Żelo”. Nie pamiętam, ale chyba przez to, że bardzo lubi żelki.

Obaj są kochani, troszczą się o mnie i martwią. Najlepiej jest, gdy jesteśmy wszyscy razem. I tak jest najczęściej. Jesteśmy kibicami ANWILU. W ubiegłym sezonie kibicowaliśmy na wszystkich meczach.

Chłopcy rosną jak na drożdżach – już mają prawie po 180 cm wzrostu, a do tego nr buta 45 i 46.

Obaj mają dużą cierpliwość do małych dzieci. Potrafią się nimi zająć i nie marudzą gdy dokazują. Są kochani, ale to pewnie każda matka tak uważa.

Najważniejsze żeby byli zdrowi i wyrosli na mądrych i dobrych ludzi.

Pozdrawiam  
Kasia Balcer

# Kacprowiczowie

## Jerzy (F614211)

Mam na imię Jerzy. Mieszkam z rodzicami i młodszą siostrą Elą we Włocławku. Chodzę do szóstej klasy Szkoły Podstawowej nr 10.

Interesuję się informatyką i piłką nożną. Lubię oglądać z rodzicami mecze piłki nożnej. W wolnych chwilach czytam książki o przyrodzie, gram w gry komputerowe oraz jeżdżę na rowerze.

Moje ulubione przedmioty to technika, informatyka oraz matematyka, ponieważ w przyszłości chcę zostać architektem.

Od września będę uczęszczał do Szkoły Muzycznej. Będę się uczył gry na kontrabasie. Czy wytarczy na wszystko czasu? Mam nadzieję, że tak.



Ela i Jurek z rodzicami

## Elżbieta (F614212)

Jestem uczennicą drugiej klasy Szkoły Podstawowej nr 10 we Włocławku. Lubię czytać książki o zwierzętach, bo je lubię. Podobają mi się zwłaszcza konie. Chciałabym zostać w przyszłości weterynarzem.

Mieszkam we Włocławku, uwielbiam podróżować z rodzicami, zwiedzać, i poznawać ciekawe zakątki naszego kraju.

Bardzo dobrze radzę sobie w szkołach; do południa w powszechnej, po południu w podstawowej muzycznej. W wolnym czasie spotykam się i bawię z koleżankami, jeżdżę na rolkach, a także pomagam w domu.

# Rodzeństwo Dorszów



## Paulina (A32421)

Mieszkam we Włocławku wraz z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Jestem tegoroczną maturzystką i od października będę studiować kulturoznawstwo Europy Środkowo-Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim.

Lubię poznawać inne kultury i uczyć się języków obcych.

## Joanna (32422)

Moją mocną stroną jest matematyka, dlatego w gimnazjum będę chodziła do klasy o profilu matema-



tycznym. Poza tym interesują mnie podróże. Bardzo lubię pływać i czytać książki.

## Marcin (A32423)

Mam 8 lat. Od urodzenia uwielbiam piłkę nożną. Chodzę do klasy sportowej i w przyszłości chciałbym być zawodowym piłkarzem. Moim ulubionym klubem piłkarskim jest FC Barcelona.



# Wokół tajemnicy rodziny

Jeszcze w lutym, pół roku przed naszym kolejnym Zjazdem Galczaków, Ela Duszyńska-Ćwiklicka poprosiła mnie o napisanie do okolicznościowego biuletynu rodzinnego artykułu o znaczeniu rodziny i życia rodzinnego oraz o sensie naszych spotkań. Eli, która jest nie tylko dobrym duchem naszej rodziny, ale i wzięła na siebie główny ciężar prowadzenia rodzinnej strony internetowej oraz troski o organizację Zjazdu, nie można było odmówić. Od zadeklarowanych dobrych chęci do czynu droga często bywa jednak daleka i tylko determinacji Eli zawdzięczam, że z przyjętego dawno temu zobowiązania udało mi się jakoś w ostatniej chwili wywiązać.

Ela nie tylko mnie nieustannie ponaglała, ale i cały czas podnosiła poprzeczkę, korzystając z wszelkich dostępnych jej, niektórych zaskakujących środków motywacji: „ma być bez względu na temperaturę dużo, interesująco i ładnie, bo jak nie, to Ci puszczyć pozdrowienia z procy” (to cytat z jednego z ostatnich lipcowych maili od niej).

Z procy jakoś udało mi się nie oberwać, ale nic nie jest jeszcze do końca powiedziane, bo poza tym, że dużo, czy rzeczywiście wyszło „interesująco i ładnie”?

„Interesująco” znaczy dla mnie na poważnie, serio, a jednocześnie przejrzyste i zrozumiałe. To samo w sobie jest już trudne do osiągnięcia, wymaga głębszego namysłu i jasności idei. Czy da się to jednak pogodzić jeszcze z tym, żeby było „ładnie”, czyli żeby się podobało?

Ostatnio, w kontekście minionych wyborów prezydenckich, ktoś próbował przekonać mnie, że w gronie rodzinnym nie należy podejmować poważnych tematów, które mogłyby ujawnić większe różnice zdań, a należy rozmawiać o rzeczach mało istotnych, takich które nie budzą kontrowersji. Postawa taka, na ile ją rozumiem, ma swoje uzasadnienie w chęci obrony przestrzeni rodziny przed coraz bardziej dominującą w sferze publicznej agresją. Nie liczy się prawda, jej poszukiwanie, ale ważne jest, aby za wszelką cenę mieć rację. W atmosferze przesyconej miazmatami brak jest gotowości do dialogu opartego na wzajemnym szacunku i racjonalnej argumentacji i do weryfikacji w nim własnych przekonań i poglądów, przyjętych w sposób świadomy lub coraz częściej nabytych bezrefleksyjnie. Niestety, agresja której jesteśmy świadkami i zapoznanie podstawowych wartości etycznych, na których opiera się współżycie pomiędzy ludźmi wywiera na nas wszystkich negatywny wpływ, prowadząc do stopniowego odwrócenia. Zachowania, które kiedyś budziły sprzeciw i uznawane były za niedopuszczalne, brak poszanowania godności drugiego człowieka, uznanie przeciwnika za wroga, którego należy zniszczyć lub ośmieszyć powoli zostają uznane za normalność. Unikanie trudnych tematów w gronie rodzinnym tylko ten fakt zdaje się potwierdzać.

U źródeł pragnienia ocalenia rodziny przed co-



raz bardziej panującą w sferze publicznej agresją leży przeświadczenie, że stanowi ona zagrożenie nie tylko dla atmosfery panującej w rodzinie, dla jej wewnętrznego pokoju, ale dla samego jej istnienia. Wiążąca członków rodziny może bardzo łatwo zostać naruszona czy też może dojść nawet do jej całkowitego zerwania. Zagrożenie dla rodziny stanowi nie tylko agresja, ale coraz bardziej dominująca we współczesnej kulturze ideologia, deformująca czy też negująca naturalną hierarchię wartości ludzkich. Nie bez znaczenia jest także narastający kryzys wiary, która coraz bardziej staje się czystym formalizmem lub tradycją, niż wyrazem wewnętrznego przekonania potwierzonego postawą. Nie obronimy jednak rodziny chowając głowę w piasek, trywializując nasze wzajemne relacje, ale kultywując najbardziej podstawowe ludzkie wartości, pomagając szanować drugiego, szanować siebie i wzbudzać szacunek u innych, innymi słowy - żyjąc godnie i akceptując absolutną godność drugiej osoby. Tylko w ten sposób ocalimy nie tylko rodzinę i wewnętrzną wolność jej członków, ale i przyczynimy się do odnowy naszego świata. Pełna realizacja rodziny wymaga, aby nie zamykała się ona w sobie, ale otwierała się na inne rodziny, na naród, na społeczeństwo. To otwarcie dokonuje się w pierwszym rzędzie poprzez podtrzymanie i dzielenie się nadzieją. Jak pisał w „Etyce solidarności” ks. Józef Tischner: „Los jednej rodziny wiąże się z losami drugiej, a los rodzin jest losem narodu. Poczucie odpowiedzialności za naród nie jest zaprzeczeniem, lecz wyrazem świa-

domości rodzinnej. Jesteśmy wielkim braterstwem narodowym, a dziecko każdej rodziny jest dzieckiem wszystkich”.

Być może będzie wydawać się to utopią, ale nią nie jest, podobnie jak nie jest utopią miłość. Wystarczy w tym miejscu odwołać się do historii rodzin tworzących nasz ród. Warto pochylić się na nowo i wczytać w spisane strzępy tej historii zamieszczone w „Galerii wspomnień” na stronie internetowej naszego rodu, aby przypomnieć sobie jak nasi przodkowie potrafili podtrzymać nadzieję w najtrudniejszym czasie, jak dzielili się nią z innymi, jak brali odpowiedzialność za los narodu, społeczeństwa i państwa. Można też odwołać się do „Listu do rodzin” Jana Pawła II, w którym ten Wielki Polak starał się ukazać jak bardzo rodzina znajduje się w centrum wielkiego zmagania pomiędzy, jak to określił za pomocą terminu zaczerpniętego od Pawła VI, „cywilizacją miłości” a jej zaprzeczeniem, „cywilizacją śmierci”. W tym zmaganiu, jak pisze, „rodzinom powierzone jest zadanie walki przede wszystkim o to, ażeby wyzwolić siły dobra, których źródło znajduje się w Chrystusie Odkupicielu człowieka, aby te siły uczynić własnością wszystkich rodzin, ażeby — jak to powiedziano w polskim Mileniu chrześcijaństwa — rodzina była ‘Bogiem silna’”. W innym zaś miejscu tego samego dokumentu stwierdza: „Tak, cywilizacja miłości jest możliwa i nie jest utopią. Ale możliwa jest tylko poprzez stałe i żywe odniesienie do ‘Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa, od którego pochodzi wszelkie na świecie rodzicielstwo’ (por. Ef 3,14-15), od którego pochodzi każda ludzka rodzina”.

Boże ojcostwo i odniesienie do niego ludzkich relacji stanowią klucz do wnikięcia w tajemnicę rodziny. Już na długo przed Janem Pawłem II zwrócił na to uwagę francuski filozof Gabriel Marcel, wskazując, że naturalne stosunki odsyłają nas do rzeczywistości boskiej, ku której skierowują nasz zapał i w sposób nieunikniony zaczynają rozluźniać się, kiedy zaczynamy zapoznawać i negować stosunki boskie, kiedy człowiek zaprzeczając istnieniu Boga, przeczy sam sobie. Jak pisał w swoim eseju „Tajemnica rodziny”: „Stosunki rodzinne, jak w ogóle wszystkie rzeczy ludzkie, same przez się nie przedstawiają żadnej spójności, nie dają żadnej gwarancji trwałości; tylko wtedy, gdy odnoszą się do ponadludzkiego porządku, którego jedynie oznaki możemy na ziemi uchwycić, przybierają one autentycznie uświęcony charakter”.

Jak jednak wyglądają stosunki rodzinne odniesione do porządku boskiego? Bardzo dobrze zdaje się je odzwierciedlać używana przez Jana Pawła II kategoria komunii osób (communio personarum). Warto przy tej okazji przypomnieć, że pojęcie to pojawia się w jego myśli jeszcze przed jego wyborem na Stolicę św. Piotra jako owoc uczestnictwa w pracach II Soboru Watykańskiego i co ważne dla nas, związanymi w dużej mierze z Włocławkiem i Kujawami, zostaje przez niego rozwinięte w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku na łamach „Ateneum Kapłańskiego”, najstarszego pisma teologicznego w Polsce wydawanego od 1909 roku właśnie we Włocławku, w dwóch artykułach: „Rodzina jako ‘communio personarum’. Próba interpretacji teologicznej” z 1974 roku i „Rodzicielstwo a ‘communio personarum’. Małżeństwo a rodzicielstwo” z 1975 roku. Spróbujmy nieco zagłębić się w ich treść, daleką od teologicznej

czy filozoficznej abstrakcji, a opartą przede wszystkim na doświadczeniu.

W artykule „Rodzina jako ‘communio personarum’. Próba interpretacji teologicznej” Karol Wojtyła podejmuje refleksję nad głębokim znaczeniem małżeństwa i rodziny, tak jak je ukazuje Objawienie i soborowa teologia oraz jak jest ono interpretowane i realizowane w życiu ludzi, w przekonaniu, że te dwa ujęcia sobie odpowiadają i że wszelkie błędy i wypaczenia w praktyce nie tylko nie zaciemniają, ale przeciwnie, przyczyniają się nawet do coraz pełniejszego ujawniania prawdziwego sensu przymiery małżeńskiego i zapoczątkowanej przez nie więzi rodzinnej. „Rodzina – pisze on - jest tym miejscem, w którym każdy człowiek pojawia się w swej jedyności i niepowtarzalności. Jest ona – i powinna być – takim szczególnym układem sił, w którym każdy człowiek jest ważny i potrzebny ze względu na to, że jest, i ze względu na to, kim jest – układem najgłębiej ‘człowieczym’, zbudowanym na wartości osoby i na tę wartość wszechstronnie nastawionym”.

Autor „Osoby i czynu” podkreśla, że punktem wyjścia antropologii teologicznej leżącej u podstaw teologii rodziny jest prawda o podobieństwie człowieka do Boga zapisana na pierwszych kartach Księgi Rodzaju i rozważana w soborowej Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, która głosi: „Kiedy Pan Jezus modli się do Ojca, aby ‘wszyscy byli jedno... jako i my jedno jesteśmy’ (J 17, 21-22), otwierając przed rozumem ludzkim niedostępne perspektywy, daje znać o pewnym podobieństwie między jednością osób boskich a jednością synów Bożych zespolonych w prawdzie i miłości. To podobieństwo ukazuje, że człowiek będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego” (KDK, n. 24). Ta prawda posiada dwa wymiary: indywidualny i społeczny. W wymiarze indywidualnym to podobieństwo nie polega wyłącznie na rozumności i wolności człowieka, ale także na byciu osobą. „Na tej właśnie zasadzie, człowiek jest owym jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg w każdym wypadku ‘chce dla niego samego’. W takim sformułowaniu jest wyrażony fakt bycia osobą, równocześnie jest w nim założona rozumność i wolność. Dzięki nim bowiem człowiek zdolny jest do samostanowienia i samoposiadania – czyli zdolny jest istnieć i działać ‘dla siebie samego’, zdolny jest do pewnej ‘auto-teleologii’, to znaczy nie tylko do stawiania sobie celów, ale także do tego, aby był celem dla siebie samego”. Przytoczony tekst *Gaudium et spes* akcentuje jednocześnie wymiar społeczny, trynitarny tej podstawowej prawdy o człowieku. Jak podkreśla Karol Wojtyła, „człowiek jest podobny do Boga nie tylko z racji swej duchowej natury, bytując jako osoba, ale także z racji właściwego sobie uzdolnienia do wspólnoty z innymi osobami”. Oznacza to nie tylko, że człowiek jest istotą społeczną, ale że „jako osoba zdolny jest do wspólnoty z innymi – i to do wspólnoty rozumianej jako *communio*”. Wspólnota rozumiana jako *communio* wskazuje na wzajemną afirmację, potwierdzenie i umocnienie nie tylko jako na skutek czy wyraz bycia i działania osób, ale jako sam sposób bycia i działania osób, który służy osobowemu spełnieniu każdej z nich: „jest to mianowicie sposób (modus) taki, że bytując i działając we

wzajemnym do siebie odniesieniu (a więc nie tylko bytując i działając 'wspólnie'), przez to działanie i bytowanie wzajemnie siebie jako osoby potwierdzają i afirmują".

Kategoria *communio personarum*, komunii osób jest zdaniem ówczesnego arcybiskupa krakowskiego najbardziej odpowiednia dla teologicznej analizy rodziny. Odwołuje się przy niej do wcześniejszego cytatu z dokumentu soborowego, który wprost odnosi się do rodziny: „Lecz Bóg nie stworzył człowieka samotnym: gdyż od początku 'mężczyzną i niewiastą stworzył ich' (Rdz 1,27); a zespolenie ich stanowi pierwszą formę wspólnoty osób (*communio personarum*). Człowiek bowiem z głębi swej natury jest istotą społeczną, toteż bez stosunków z innymi ludźmi nie może ani żyć, ani rozwinąć swoich uzdolnień” (KDK 12). Postawa, która tworzy komunie osób, polega na bezinteresownym darze z siebie. Osoba jest zdolna do takiego daru, ponieważ jak pisze autor „jej własnością jest samoposiadanie: tylko ten może siebie dać, kto sam siebie posiada. Równocześnie zaś ów dar posiada charakter bezinteresowny - i przez to właśnie zasługuje w pełni na nazwę daru. Gdyby służył jakimś 'interesom' po jednej lub po drugiej stronie, już nie byłby darem, byłby może korzyścią czy nawet pożytkiem, ale darem by nie był”.

W relacjach międzyosobowych bezinteresowny dar z samego siebie leży u podstaw całego porządku miłości. Stanowi on fundament przymierza małżeńskiego, wnosząc do niego nowy rodzaj miłości, który Karol Wojtyła określa za pomocą pojęcia „miłości oblubieńczej”. Oblubieńcza miłość męża i żony sprawia, że małżeństwo staje się rodziną w momencie poczęcia nowego życia. Ta przemiana więzi małżeńskiej w więź rodzicielską posiada według autora szczególne znaczenie dla ukazania właściwych wymiarów komunii osób, *communio personarum*, jaką najpierw powinno stanowić małżeństwo, a potem rodzina. W pierwszym rzędzie odnosi się to do współżycia małżeńskiego, rozumianego jako wzajemne obdarowywanie specyficznym bogactwem swego człowieczeństwa. „Ujmujemy obiektywną rzeczywistość, obiektywną miarę tego współżycia – pisze autor, gdy stwierdzamy, że realizuje się w nim prawdziwa *communio personarum*, zjednoczenie osób, nie tylko ciał – nie tylko 'stosunek seksualny', ale rzeczywiste zjednoczenie osób, w której stają się oni wzajemnie dla siebie darem, wzajemnie się sobie oddają i wzajemnie przyjmują”. To zaś niesie ze sobą konkretne wymagania i zasady etyczne, które chronią więź małżeńską i mającą w niej swój początek więź rodzicielską przed tym wszystkim, co ją narusza i zniekształca, co jedną z osób czyni dla drugiej przedmiotem użycia.

W artykule „Rodzicielstwo a 'communio personarum'. Małżeństwo a rodzicielstwo” Wojtyła zwraca uwagę, że wraz z poczęciem i urodzeniem dziecka zmienia się kształt i układ życia osobowego i społecznego, gdyż jak pisze: „ponieważ owo związanie i spełnienie przez rodzicielstwo zachodzi w mężczyźnie dzięki kobiecie, a w kobiecie dzięki mężczyźnie - dlatego też w zupełnie nowy sposób, niejako w nowym wymiarze, kształtuje się cały nowy układ *communio personarum*”. Również dla rodzicielskiego *communio* istotną jest dynamika wzajemnego oddania i odpowiadającego na nie przyjęcia: przyjęcia macierzyństwa żony przez męża i jego ojcostwa

przez żonę, bez względu na to, jak bardzo to macierzyństwo czy ojcostwo mogłoby być niepożądane. Zdaniem Wojtyły, to wzajemne przyjęcie siebie i afirmacja rodzicielstwa we współżyciu małżeńskim ma fundamentalne znaczenie etyczne w małżeństwie. Wojtyła opisuje, w jaki sposób poczęcie dziecka, które jest „obdarowaniem człowieczeństwem przez rodziców”, wzbogaca małżeńską *communio personarum*: „jest rzeczą znamioną, że dziecko - choć pozbawione przez długi czas osobowej pełni działania - wchodzi od razu do wspólnoty jako osoba, tzn. jako ktoś uzdolniony nie tylko do przyjmowania, ale także do dawania. Tak więc nowy mały członek rodziny od samego początku obdarowuje swoich rodziców, a także, jeśli nie jest pierwszym dzieckiem, i rodzeństwo - swoim człowieczeństwem. Poszerza krąg tego obdarowania, jaki istniał przed jego urodzeniem i wnosi weń nową, całkowicie oryginalną, treść”. Ten dar, jakim dla członków rodziny jest nowonarodzone dziecko nie jest tylko dany rodzicom, ale im „zadany”. Dziecko pojawia się w małżeństwie jako osoba i dar, które stają się dla rodziców zadaniem w procesie wychowania: realne wprowadzenie do rodzinnej wspólnoty, *communio personarum*, zachodzi wówczas, gdy rodzice odkrywają w całej pełni w swoim dziecku to zadanie, jakie wraz z nim staje wobec ich miłości. Aby to zadanie mogło być w pełni odkryte i urzeczywistnione, musi być odkrywane stopniowo i stopniowo urzeczywistnianie”. Proces wychowania dziecka, opisany przez Wojtyłę w kontekście miłości oblubieńczej, prowadzący do rozwoju małżeńskiej i rodzinnej *communio*, jest określony przez niego jako „obdarowanie tego małego - stopniowo rozwijającego się człowieka - dojrzałym człowieczeństwem”.

Karol Wojtyła opisuje układ relacji w rodzinie jako komunii osobowej małżonków, rodziców i dzieci z punktu widzenia małżonków i rodziców. Aby pójść dalej i objąć naszymi rozważaniami rodzinę w szerszym znaczeniu, jako rodu, wspólnoty rodzin spróbujemy zmienić perspektywę i spójrzmy na tę rzeczywistość od strony dziecka. Kiedy zyskuje ono świadomość, zaczyna odkrywać rodzinę jako pewien układ wokół siebie, uważając się za jego centrum. Wraz z czasem przychodzi bolesne odkrycie władzy rodzicielskiej nad sobą, następuje też stopniowe odkrywanie różnych relacji łączących członków rodziny ze sobą, wszystko zaczyna się komplikować, zaciemniać... Nadejdzie też moment odkrycia, że jak pisze w cytowanym już tekście Gabriel Marcel, „jestem niezależnie od swej pierwotnej woli czy świadomości, że wcielam odpowiedź na wezwanie dwóch istot, wezwanie, jakie rzuciły one sobie w nieznane i – nie podejrzewając tego nawet – rzuciły je również poza siebie, jakiejś niepojętej mocy, która wyraża się daniem życia. Ja jestem tą odpowiedzią, początkowo bezkształtną, która jednak stopniowo, w miarę jak będzie się kształtowała, pozna siebie samą jako odpowiedź i osąd. Tak, dochodzę nieuchronnie do odkrycia, że to właśnie ja przez to, iż jestem tym, kim jestem, wydaję osąd o tych, którzy wprowadzili mnie w byt; tym samym między nimi i mną powstaje nieskończona ilość nowych stosunków”.

To odkrycie powinno doprowadzić mnie do kolejnego, fundamentalnego, że u początku mojego istnienia leży akt miłości, miłości bardziej lub mniej niedoskonałej, ale będącej odzwierciedleniem, choćby



tylko jako pragnienie, doskonałej miłości Boga i Jego ojcostwa. Wzajemna miłość moich rodziców i ich miłość do mnie jest śladem stwórczej miłości Boga do mnie, który chce mnie dla mnie samego i odkrywa przed mną moją nieskończoną wartość i godność jako osoby. Zawiera też w sobie wezwanie do miłości, do bezinteresownego daru z samego siebie.

Co jednak z miłością, która nie przeszła próby czasu czy też w ogóle trudno się jej dopatrzeć? Dopóki jako duszpasterz nie zetknąłem się z porażającymi historiami młodych ludzi, którzy tej rodzicielskiej miłości prawie nie doświadczyli, nie widziałem niczego szczególnego w tym, że moi rodzice się kochali, że pozostali wierni złożonej sobie przysiędze, że kochali tak jak potrafili nas, swoje dzieci. Towarzysząc tym, których doświadczenie dzieciństwa było dla nich ciężarem niemal nie do uniesienia, którzy od urodzenia zamiast czułych słów słyszeli z ust własnej matki słowa wyrzutu: „gdybyś się nie urodził, moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej”, którzy przeżyli rozpad małżeństwa swoich rodziców i często byli traktowani jako przedmiot w rozgrywce między nimi, którzy doświadczyli różnych patologii życia rodzinnego, jednocześnie byłem i jestem świadkiem uzdrawiającej, wyzwalającej i przemieniającej mocy miłości Boga odkrywanej we wspólnocie ludzi wierzących, choć ten proces uzdrowienia trwa nieraz bardzo długo i często potrzeba także i specjalistycznej terapii lekarskiej. Zarazem jednak coraz bardziej odkrywam nieskończoną wielkość daru, jakim jest kochająca się rodzina.

Wracając do głównego nurtu moich rozważań, przychodzi w życiu człowieka także i taki moment, kiedy zaczyna eksplorować głębiej tajemnicę swojej tożsamości i pochodzenia, kiedy zaczyna śledzić „nic pępowiny swoich doczesnych przodków” (Marcel). Bardzo szybko jednak w tym poszukiwaniu dochodzi do niemożliwej już do przekroczenia granicy. Wystarczy to jednak do tego, aby dostrzec rozsnuwającą się przede nim i wokół niego sieć relacji. Dzięki naszym rodzinnym poszukiwaczom, przede wszystkim Eli, Wojtkowi i Andrzejowi udało nam się tę sieć bardzo poszerzyć, choć jeszcze sporo brakuje, aby objąć nią nie tylko cały rodzaj ludzki, choć intuicyjnie wiemy, że przynależymy wraz ze wszystkimi ludźmi do jednej rodziny ludzkiej, ale wszystkich Galczaków i członków spokrewnionych z Galczakami rodzin. Połączenie niektórych gałęzi naszego rodu ukryte jest, przynajmniej do tej pory, poza tą nieprzekraczalną granicą mroku dziejów. Co jednak sprawia, że jesteśmy jedną wielką rodziną? Czy wystarczy do tego przypisane miejsce na drzewie genealogicznym? Są na nim z pewnością i osoby, które nie są zainteresowane nawiązaniem więzi i nie przeżywają swojej tożsamości w powiązaniu z przynależnością do naszego rodu. Wydaje się mieć rację przywoływany już kilkakrotnie przeze mnie Gabriel Marcel, kiedy pisze: „Jeżeli istnieje jakaś rzeczywistość rodzinna, to jednak nie daje się ona stwierdzić po prostu, czy też ująć obiektywnie jako zwykłe pokrewieństwo; możemy nawet powiedzieć, że przekracza ona nieskończenie wszelkie zwykłe dane figurujące w księgach stanu cywilnego. Istnieje ona jedynie pod tym warunkiem, że ujmujemy ją jako wartość, i nie tylko jako wartość, ale także jako obecność”.

Uznanie rzeczywistości jako wartości związane jest z doświadczeniem dumy z przynależności do

tej akurat rodziny jako wspólnoty, w której tkwię moimi korzeniami i moją tożsamością i która dodaje mi blasku. Tak przeżywana duma, jak zwraca uwagę Marcel, nie ma nic wspólnego z próżnością, która stanowi jej degradację: „Duma... jest pewną odpowiedzią wypływającą z mej głębi na nadaną mi godność, której mam sprostać. Dumę tę odczuwam więc jako coś wyłącznie osobistego; nie zwraca się ona w najmniejszej mierze ku jakiemuś innemu człowiekowi, którego chciałbym olśnić lub oneśmielić. Dzięki temu jest ona uczuciem konstruktywnym, współdziała bowiem w tworzeniu postaw wewnętrznych potrzebnych mi do ustalenia mego postępowania”. Francuski filozof wiąże odkrywaną przez dumę wartość rodziny z uznaniem panującej w niej hierarchii i autorytetu reprezentowanego przez głowę rodziny. W przypadku rodziny w szerokim znaczeniu, rodu wydaje się, że jej wartość związana jest ściśle z rozpoznaniem, akceptacją i uznaniem za własne tych wartości, którymi kierowali się w życiu nasi przodkowie. W innym razie, rodzina będzie dla mnie jakąś siecią, w którą według mojego osądu, wpłątany zostałem lub wpłatałem się przez pomyłkę i z której należy jak najszybciej się uwolnić.

Doświadczenie zaś rodziny jako obecności to doświadczenie jej istnienia jako pewnej powłoki ochronnej, rozciągającej się między nami a obcym i często wrogim światem, to pierwotne odczucie pewnego „my”, które realizuje się zazwyczaj tylko w życiu rodzinnym, to przeżywanie w rodzinie tak głęboko poddanej analizie przez Karola Wojtyłę komunii osób, to wzajemne bycie dla siebie członków rodziny, to namacalna obecność prawdziwej miłości, która kształtuje stosunki w rodzinie i stanowi wewnętrzną siłę, która kształtuje i ożywia wspólnotę. W rodzinie doświadczanej jako obecność bardziej niż w jakiegokolwiek innej wspólnocie prawdziwa jest zasada: Zawsze lepiej jest kochać niż mieć rację. Każdy jej członek ma prawo oczekiwać od innych tego, co w nich najlepsze i ma obowiązek dawać to, co w nim najlepsze. W ten sposób rodzina chroni swoich członków przed światem, który może okazać się obcy, a nawet wrogi, ale na który powinna być otwarta (C. Valverde).

Przygotowując się już duchowo poprzez pisanie tego tekstu do wspólnego świętowania przynależności do rodu Galczaków i radości z jego nieustannego powiększania się nie tylko drogą poprzez cud narodzin dzieci, które jak pisał ks. Tischner „wszystkie są nasze”, ale i dzięki odkrywaniu i uznawaniu naszej rodziny za wartość i obecność przez coraz liczniejszych jej członków, chciałbym - jak jestem o tym głęboko przekonany - w imieniu nas wszystkich wyrazić wdzięczność i uznanie tym wszystkim, którzy wzięli na siebie trud organizacji kolejnych zjazdów i spotkań, poszukiwań archiwalnych i podtrzymywania więzi rodzinnych. Piszę o tym nie tyle dlatego, żeby w ten sposób zjednać sobie Elę, która ostatnio zniercierpliwiona oczekiwaniem na ten tekst groziła mi już nie tylko strzelaniem z procy, ale wprost rozstrzelaniem, ale żeby wyrazić też i wiarę w to, że znajdą oni pomocników i naśladowców i że to co zapoczątkowali, będzie kontynuowane, bo o wartości tego dla nas świadczymy naszą obecnością, a uznana i przyjęta wartość domaga się odpowiedzi...

# Czas i cienie trzech pokoleń

Wspomnienia Waldemara Galczaka(A311), wnuczka Jana,  
piekarza z ul.Miłej we Włocławku

## Cofnąć czas

**C**zas i przemijanie pochłonie nas i wszystko, co nam znane. Doczesne życie każdego zniknie w tej „rzece czasu”. Czy naprawdę?

Jest takie pojęcie nazwane „trwaniem”. Trwają, wbrew czasowi, dzieła ludzkie. Jedne długo, jak skała, inne krócej jak kołek wbity w nurt rzeki. Są to „ślady” pozostawione przez nas. Twórcy pozostawią wiekopomne dzieła, tworzące kulturę społeczeństwa, ludzie przeciętni tylko ślady mniej lub bardziej trwałe. Najczęściej pomniczek na cmentarzu. Trwamy jeszcze przez jakiś czas w pamięci innych. O naszych przodkach dowiadujemy się z dat narodzin i śmierci umieszczonych na grobach. Trochę więcej wiadomości znajdziemy w zapisach ksiąg parafialnych, Odszukujemy jeszcze to, co zachowała pamięć rodzinna, jednak ta nie sięga dalej niż trzy, cztery wcześniejsze pokolenia, a im dalej w przeszłość, to obraz coraz szczelniej pokrywa mgła.

Są takie „ślady”, kiedyś powszechne, których źródłem jest miłość STWÓRCY okazana człowiekowi i okazywana dalej, w łańcuchu pokoleń, przez rodziców dzieciom. Miłość ta objawia się, od wieków, troską o przygotowanie ich do życia wiecznego i doczesnego. Wpajano cnoty i zasady od najszczytniejszych, określanych hasłami „Bóg, Honor, Ojczyzna”, do tych powszechnych: jak uczciwość, pracowitość czy sumienność. Starano się przekazać własne doświadczenia życiowe i pomóc w zdobywaniu wykształcenia i wiedzy. Pozostawiano też „ślad” materialny, który miał ułatwić start w dorosłym życiu, nie tylko dzieciom, ale również wnukom i prawnukom. W tym celu budowano obszerniejszy dom, kupowano ziemię, sadzono sad, czy las, zakładano warsztaty, powstawały przedsiębiorstwa i fabryki. Tak z pracy i przedsiębiorczości kolejnych pokoleń powstawały i rosły fortuny jednostek i ogólny dobrobyt. W takiej filozofii życia wyrastali nasi przodkowie. Takie zasady dziadek Jan przekazał memu ojcu Kazimierzowi. Mafijne systemy totalitarne niszczyły z premedytacją, struktury społeczne oparte na prawie do prywatnej własności i jej dziedziczenia oraz prawie rodziców wychowywania dzieci w kulturze przodków. Zapamiętajmy te ideologie i metody, jakimi je wdrażano. W walce lub bestialsko wymordowana, zginęła najwartościowsza część narodu. Udało się uwolnić od władzy zakłamania i fałszu. Wieloletnie „pranie mózgow” społeczeństwa, niszczące podstawy jego kultury, pozostawiło niepowetowane straty moralne. Przyjdzie je odrabiać przez dziesiątki lat.

Mahatma Ghandi zapytany, co sądzi o kulturze Zachodu, powiedział: „Pomysły może dobre, lecz realizacja fatalna”. Czy losy i życie naszych pradziadów mogą być dla nas czymś więcej niż tylko zaspokojeniem zwykłej ciekawości? Przecież nie dokonali niczego wielkiego? A może w skromnych

niezbyt życiorysach odkrywamy ponadczasowe wartości kultury europejskiej, godne naśladowania. Zastanówmy się nad niepowodzeniami, Czy oceniając obiektywnie, na co pozwala perspektywa minionych lat, możemy stwierdzić, że mogli uzyskać lepsze efekty?

Niech nasz osąd będzie sprawiedliwy i uwzględnia wszelkie okoliczności. Znikają „ślady”, nikt jednak nie potrafi zerwać nici łączącej nas z przodkami. Przejmujemy cechy fizyczne, niektóre cechy charakteru, a także, bezwiednie, pewne wzorce zachowań. Może to dzięki tym dobrym genom w naszej rodzinie, łatwiej niż inni odróżniamy „ziarno od plewy”

Jestem pewien, że „cienie” naszych przodków zjawiają się czasem wśród nas. Czuję wyraźnie obecność kogoś bliskiego w chwilach wielkiego zagrożenia. Poszukujemy pamiętek i wspomnień. Niech nasi zmarli jak najdłużej trwają w pamięci rodziny i potomków. Myśląc o pradziadach, niech nam się zdaje, że stoimy obok w dawnej, niby nam znanej, ale jak różnej od obecnej krainie, Nie ma tu elektryczności, nie ma samochodów, radia, ale woda jest czysta, a trawa zielona. Przyglądamy się ich życiu oczami im współczesnych. Cofnijmy czas!



Waldemar Galczak (A311)

## Część I Galczakowie

### Rozdział I

#### Początek drogi

Posiadamy bardzo mało udokumentowanych informacji o przodkach. Znamy jako tako życiorysy dziadków. Życie pradziadów ginie w zapomnieniu. Na podstawie dat z ksiąg parafialnych, najczęściej jedynych „śladów”, snujemy różne przypuszczenia i domysły. Dzisiejszy młody człowiek, pędzący luksusowym samochodem, szukający wiedzy w „Internecie”, powie lekceważąco: Życie twoich przodków, to bieda i prymitywność, a do tego, „co rok, to prórok”. Różnie można oceniać osiągnięcia życiowe. Zależą one przede wszystkim od tego, z jakiego poziomu nastąpił start. Jakie „warunki startu” zgotował los Andrzejowi, założycielowi naszej gałęzi rodziny Galczaków? Bieda, to bardzo obszerne pojęcie. Poziom życia warstw chłopskich, w większości krajów

europijskich, zależał od tych samych czynników: klimatu, gleby i polityki elit sprawujących władzę. Postęp techniczny wdrażano stopniowo, na miarę możliwości. Z tym nawet było lepiej na Kujawach, niż w Rosji, czy wielu krajach. Prymitywnymi można nazwać chłopów z krakowskiego, z roku 1846, mordujących bestialsko szlachtę polską. Prymitywne, bezmyślne, wynikające z „ciemnoty”, niszczenie tego, co zostało zbudowane przez innych, to jednak „polska specjalność” również naszych czasów.

Kujawscy i wielkopolscy chłopci byli bardziej uświadomieni gospodarczo i politycznie, niż mieszkańcy innych rejonów Polski. Wielopokoleniowe, wielodzietne rodziny były zjawiskiem normalnym i powszechnym na całym ówczesnym świecie. Niechby taki obecny mądrała znalazł się w tamtych realiach XIX wieku, z kwalifikacjami „fornała” i spróbował się z nich wyrwać, zdobyć lepszy byt dla siebie i rodziny. Może pozostałby przy marzeniach głużonych alkoholem. Tak kończyła większość służby dworskiej. Nie było głodu, był dach nad głową starczało na odzież codzienną i świąteczną, a dziedzic wspomagał finansowo w specjalnych sytuacjach życiowych. Gorzej było z tymi, co nie mogli pracować, dla których nie starczało pracy, albo wyżywienia z małego skrawka własnego gruntu. Ci stanowili biedotę wiejską.

Po Kongresie Wiedeńskim, część Kujaw, z Inowrocławiem i Bydgoszczą, włączono do Wielkiego Księstwa Poznańskiego ofiarowanego Prusom. Księstwo było takim samym fikcyjnym tworem politycznym, jak Królestwo Polskie, pod berłem cara Rosji, gdzie pozostała reszta Kujaw. Zaborcy urabiali Polakom opinie niezdolnych do samodzielnego zorganizowania własnego państwa. Natomiast sprawa polska cieszyła się sympatią społeczeństw domagających się demokratycznych rządów. W Wielkim Księstwie Poznańskim zniesiono pańszczyznę, ale chłopci musieli wykupić od dziedzica uprawiane dotychczas na swój użytek grunty, jeśli nie było ich na to stać, zatrudniali się za proponowane wynagrodzenie, przeważnie w naturze, w folwarku i przenosili do „czworaków”. Niektórzy emigrowali „za chlebem”. Chłopci niemieccy wędrowali do zaboru rosyjskiego, wioząc swój dobytek na taczkach, czy wózkami ciągniętymi przez całą rodzinę i psa.

Wiosna Ludów w roku 1848 przyniosła wybuch powstania też w Wielkim Księstwie Poznańskim. Jest to jedyne polskie powstanie w XIX wieku, skierowane przeciwko zaborcy, w którym powszechny udział biorą chłopci. Niestety, początek w kwietniu, a w maju kapitulacja i kompromitacja całego ruchu. Powód: jak zwykle, brak przygotowania, nieudolność i spory szlacheckiego dowództwa

Co wiemy o początkach poznanej historii rodziny? Okres od narodzin do śmierci pradziada Andrzeja Galczaka, ojca Jana, mojego dziadka i jego brata Wojciecha, „głównych postaci niniejszego opowiadania”, to zaledwie garść dat i zapisów z ksiąg parafialnych oraz kilka przypuszczalnych zdarzeń z jego życia. Jak można by tą historię uzupełnić, czego możemy się jeszcze domyślać?

Andrzej urodził się w roku 1820, w Ściborzu, niedaleko Inowrocławia w ówczesnym Wielkim Księstwie Poznańskim. Mógł wywodzić się z uwolnionych od poddaństwa, chłopów pańszczyźnianych, którzy pozostali, jako pracownicy najemni u swych

dotychczasowych „panów”. Wskazuje na to wpisany w aktach zawód „fornał”.

Ściborze było, niegdyś polską, szlachecką siedzibą, przejętą przez jakąś niemiecką rodzinę. Tu Andrzej zawiera pierwszy związek małżeński w roku 1847 z Katarzyną Śpiewak, a po jej śmierci, żeni się ponownie w roku 1850 z 20 letnią Antoniną Jaźwierską z Dobiesławia. Tu rodzą się synowie: w roku 1853 Wawrzyniec i w roku 1855 Michał.

Zarobki fornała nie wystarczają dla utrzymania rodziny. Należało pomyśleć jak poprawić sytuację materialną, podjąć decyzję o zmianie miejsca pracy, wyruszyć „za chlebem”. Jestem pewien, że Andrzej był człowiekiem przedsiębiorczym i nie dał sobie w kaszę dmuchać. Tacy byli dziadek Jan i jego syn Kazimierz, mój ojciec. Musieli po nim odziedziczyć te cechy. Czy, oprócz zdobytych kwalifikacji fornała, skończył jakąś szkołę? Dla dziecka z „czworaków” było to chyba niemożliwym.

W Prusach wprowadzono, pierwszą w Europie reformę wojska, polegającą na krótkiej służbie z poboru i przenoszeniu do rezerwy, z możliwością szybkiej mobilizacji wielkiej armii. Armia była źródłem potęgi Prus, a następnie II i III Rzeszy Niemieckiej. Szkolenie żołnierza było mordercze. Ten, kto je wytrzymał, był dobrze zahartowany na wszelkie trudy. Wydaje się, że Andrzej odbył taką służbę Jeden z chłopskich obozów, w czasie krótkiego powstania wielkopolskiego w roku 1848, znajdował się nad Gopłem, niedaleko Kruszwicy. Może tu znalazł się również Andrzej.

Prusacy chcąc sobie zjednać chłopów, nie stosowali wobec nich represji. Zbyt mało wiemy o prababce Antoninie. Gdzieś spotkałem informację, że we Włocławku miała krewnych. Nic o nich nie wiemy. Wydaje mi się, że w dociekaniach zbyt mało się interesujemy żeńskimi liniami rodu, gdy, a wiem to z własnego doświadczenia, w naszej rodzinie matki i żony są nieraz główną inspiracją do poważniejszych przedsięwzięć.

Taką sytuację pozostawiał nasz przodek na ziemi rodzinnej, niewiele korzystniejszą była niestety ta po drugiej stronie granicy. Dwie zdrowe ręce i żywność w torbie na drogę, może jeszcze trochę pruskich marek na pierwsze wydatki, to „warunki startu”, gdy pewnego dnia, pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku wyruszył popularnym chłopskim sposobem podróżowania, „wozo-stopem”, aby zmienić los rodziny.

Jaka była sytuacja w „rosyjskiej” części podzielonych Kujaw? W Królestwie Polskim, zwanym „Kongresówką” leczono rany po powstaniu 1831 roku. Car Aleksander II, w czasie swej pierwszej wizyty w Warszawie, kilka miesięcy po objęciu tronu, wyraźnie dał do zrozumienia, że chce tu mieć rosyjski „priwisłański kraj”, taki sam jak wszystkie inne, obcojęzyczne obszary wielkiego imperium. Na szczęście, przedpowstaniowa działalność księcia Druckiego-Lubeckiego została gospodarce Królestwa w bardzo dobrym stanie. Trudno było wszystko zepsuć nowymi „ukazami”.

Dobra lubranieckie, z najżyźniejszym w Polsce „czarnoziemem”, nabył w roku 1827, od hrabiów lubranieckich, polski generał Augustyn Słubicki, ostatni marszałek „pospolitego ruszenia” szlachty ziemi bydgoskiej. Po tragicznej śmierci generała, dobra stały się własnością jego córki, hrabiny Mniewskiej.

Następnymi właścicielami byli Dembscy. Historia tych szlacheckich rodzin, szczególnie działalność związana z przygotowaniem i wybuchem powstania styczniowego na Kujawach, mogłaby przyczynić się do wyjaśnienia tajemniczej części, historii naszej rodziny.

Andrzej rozpoczął służbę w lubrańskich dobrach jako woźnica. Zakładam, że może wkrótce awansował na stanowisko, zwanego z niemiecka „stangreta”. Wymagało to pełnego zaufania, bo stangret, to jakby dzisiejszy kierowca i „ochraniarz”, należał do elity wśród służby dworskiej. Zdobycie praktyki i odpowiednich kwalifikacji wymagało czasu.

Przerwa, między narodzinami kolejnych potomków, zamiast jak zwykle dwa, trwa cztery lata.

Wynika z tego, że żona z dziećmi nie od razu opuszczają Ściborze. Dopiero w roku 1859, w Lubrańcu, nowym miejscu zamieszkania przychodzi na świat mój dziadek Jan. Minie jeszcze 18 lat i wiele się wydarzy, do narodzin, jego brata Wojciecha.

W Kongresówce trwają przygotowania do powstania. Czasy są niepewne. Rodzina jakoś często wędruje między zaborami. W roku 1861 w Inowrocławiu rodzi się córka Agnieszka, a w 1862 w Strzemkowie, czwarty syn, Józef. Jest już pięcioro rodzeństwa.

Gdy wybucha powstanie styczniowe dzieci są na pewno razem z matką w Strzemkowie. Ojciec chciał może pozostawić rodzinę w bezpiecznym miejscu, gdzie nie byłaby narażona na represje z jego powodu w razie „wpadki”.

Przez pobliską granicę szły transporty broni, przemycanej dla powstania. W pałacu zjawiali się emisariusze i członkowie Rządu Narodowego, w tym Jan Jeziorański. Woził ich zaufany stangret.

Z udziałem chłopów kujawskich w powstaniu było bardzo różnie. Część walczyła w oddziałach powstańczych „białych”, Ci rekrutowali się przeważnie ze służby dworskiej. Był oddział „czerwonych”. Byli wreszcie wierni poddani „batiuszki cara” szkoleni przez Rosjan we Włocławku do walki z powstańcami, zwani pogardliwie „pasierbami”. Nie brakowało szpicli i donosicieli.

Miasta i miasteczka były narodowościowo bardzo zróżnicowane. Polacy, Żydzi, Niemcy, rosyjscy urzędnicy i policja oraz silny garnizon wojsk rosyjskich, to był skład ludności Włocławka. Tylko wieś kujawska była narodowościowo jednolicie polska: „chłopsko-szlachecka”. Były wsie chłopskie z bogatymi i biednymi gospodarstwami. Byli chłopci bezrolni, pracujący u bogatszych na stałe lub dorywczo. Była wreszcie służba dworska.

Powszechny był analfabetyzm, szczególnie wśród biedniejszych warstw. Wsie miały swe „władze” sołtysów, wójtów, których obowiązkiem było przekazywanie i pilnowanie wypełniania nakazów i ukazów władzy. Nie do przecenienia była rola Kościoła. Nie tylko w umacnianiu wiary katolickiej. Proboszcz był autorytetem moralnym w sprawach świeckich, przewodnikiem na trudnych drogach życia. Z ambony padały słowa budzące nadzieje odzyskania wolnej, niepodległej Ojczyzny. Kościół katolicki był jedyną organizacją łączącą Polaków ze wszystkich zaborów.

Nie wiemy, jaki był udział Andrzeja w powstaniu. Wspominano, że został ciężko ranny, stracił oko. Jakoś udało się go ukryć przed Rosjanami i

ich tajną policją, sławną „Ochroną”. Pewnym tego potwierdzeniem jest ponowne zaburzenie rytmu życia rodzinnego. Dopiero w roku 1866 przychodzi na świat, znowu w Lubrańcu, druga córka Marianna. Wszystko wskazuje na to, że rodzina mieszka już na stałe w należącym do dóbr lubrańskich, folwarku Kazanie. Ten folwark wyjątkowo nadawał się do ukrycia rannego. Leży na uboczu od szlaków komunikacyjnych. Blisko jest do lasów wienieckich, do mokradeł i torfowisk nad Zgłowiączką.

W Kazaniu w roku 1868 urodził się piąty syn Walenty, w 1869 umiera syn Józef, a w 1871 rodzi się trzecia córka Franciszka.

Część dzieciństwa, pierwsze lata okresu międzywojennego, spędziłem na wsi kujawskiej. Panował wówczas ogólny powojenny kryzys, a o czasach, przed pierwszą wojną światową mówiono: „Kiedyś, za Ruska, to było dobrze”.

Powstanie styczniowe przyniosło ciężkie straty w patriotycznej części polskiej społeczności Kujaw zaboru rosyjskiego, szacowane na kilka tysięcy poległych i zmarłych wskutek odniesionych ran. Nastąpiły okrutne represje. We Włocławku powieszono kilkaset osób. Tu rozstrzelano Włocha, garibaldczyka, pułkownika Stanisława Becchiego. Natomiast okres popowstaniowy, to lata znacznego rozwoju gospodarczego i ekonomicznego. Po carskim ukazie z 2. III 1864 r. o zniesieniu pańszczyzny, co skutecznie odciągnęło wieś od udziału w powstaniu, rzesze uwolnionych chłopów, ruszyły do miast, szukać szczęścia w rozwijającym się przemyśle. Władze carskie temu sprzyjały nie zabezpieczając godziwych warunków życia nowej warstwie społecznej. W ten sposób, z biedy wiejskiej tworzyły „miejski proletariat” - sznur na swą szyję.

Dla polskich fabryk otwiera się olbrzymi rynek rosyjski, co we Włocławku wykorzystuje pierwsza zbudowana w Polsce, fabryka papieru Grossa, czy istniejąca od 1816 roku, fabryka cykorii Bohma. Są warunki dla powstania wielu nowych zakładów przemysłowych. Wymianę towarową ułatwia, zbudowana w roku 1862, linia kolejowa Warszawa – Bydgoszcz. Na wsi, ocalałe z „pogromu styczniowego” folwarki poprawiają swą ekonomiczną sytuację przez wprowadzanie nowych metod gospodarki rolnej. Jednocześnie pogłębiało się rozwarstwienie społeczeństwa. Jedni się bogacili inni tkwili w biedzie. Gospodarstwa chłopskie rozdrabniały się coraz bardziej, przybywało biedy wiejskiej.

Czy sprawy powstania już na tyle „przyschły”, że Andrzej może się swobodnie poruszać? Wydawałoby się, że tak. Carskie sądy działały jeszcze zgodnie z cywilizowanym prawem. Człowiekowi trzeba było udowodnić przestępstwo. Nie został schwytany z bronią w ręku. Rany można różnie wytłumaczyć. Tu mam jednak wątpliwości. Dlaczego dzieci miałyby powtarzać, że ojciec zaginął „bez wieści”? Czemu nie wolno było o nim z nikim rozmawiać? Taką wersję przekazał mi mój ojciec, jako usłyszaną w dzieciństwie, gdy dopytywał się o swojego dziadka.

Kraj był pod rosyjskim zaborem. Dla Jana musiało być ważnym, aby tajemnica była utrzymywana jeszcze po trzydziestu latach od śmierci jego ojca. Ale dlaczego? Mój brat Mirek słyszał od kogoś ze starszych członków rodziny, że pradziad dużo jeździł wozem w dalekie trasy. Nasuwa mi się takie przypuszczenie: Andrzej na pewno nie siedział z

założonymi rękami i tylko łowił ryby w Zgłowiączce. Może założył jednoosobową „firmę transportową”. Ten zawód, na bazie pojemnego, dobrze okutego wozu i dwóch mocnych, rączych koni, wymagał odwagi, znajomości dróg, bezdroży i brodów znanych tylko miejscowym. Wybierali go ludzie twardzi i przedsiębiorczy. Jeśli w naszym przypadku wchodziły w grę jeszcze transporty przez dziurawą granicę rosyjsko-pruską, sprawa długoletniej tajemnicy byłaby wyjaśniona. „Gangi przemytnicze” miały i wówczas swoje prawa. Kontrabanda była wymierzona przeciwko zaborcom, była działaniem patriotycznym, a oprócz tego przynosiła niezły dochód i szerokie kontakty.

## Rozdział II

### Zdobyć wiedzę i zawód

Brakowało szkół. Zaborcy celowo blokowali rozwój nawet podstawowego szkolnictwa z polskim językiem nauczania. Żeby posłać chłopskie dziecko do miejskiej szkoły ojciec musiałby, co najmniej, sprzedać krowę, a była przeważnie tylko jedna. Popularnym stawało się hasło polskiej inteligencji: „Światło zdobyte w szkole nieśmy do ludu mas!”. Powszechnym było potajemne nauczanie dzieci we dworach i na plebaniach oraz pomoc zdolniejszym w dalszej nauce. Jednak była to kropla w morzu potrzeb.

W roku 1866 Jaś, trzeci z kolei syn, kończy 7 lat. Pora zaczynać naukę. W dworach dóbr lubranieckich na pewno organizowano potajemne szkółki dla wiejskich dzieci. Rodzina była głęboko wierząca i religijna. Kazanie należało do parafii kościoła w Brześciu Kujawskim. Tu może Jaś, jak wielu chłopców, był ministrantem. Może na lekcjach katechizmu poznał pierwsze litery i nauczył się czytać. A gdy jeszcze szybko nauczył się liturgicznych tekstów łacińskich, poznano, że jest dzieckiem wyjątkowo zdolnym.

Istniała już, wprawdzie rzadka, sieć podstawowych szkół czteroklasowych. Dalsza nauka mogła być podjęta w ośmioklasowym gimnazjum, po zdaniem egzaminie do klasy pierwszej.

60 lat później, w wieku 6 lat, przez rok chodziłem do wiejskiej czteroklasowej państwowej szkoły. Bawiłem się z dziećmi z „czworaków” dworskich. Przeważnie do każdej klasy uczęszczały po dwa, lub trzy lata. Nie dlatego, że były mało zdolne, tylko latem musiały pracować, a zimą, nie miały butów, lub ciepłego odzienia. Mówiły gwarą kujawską, co też utrudniało lekcje polskiego.

Ja zostałem, pierwszego dnia, przeniesiony do drugiej klasy, w której miałem 12-letnich kolegów. „Pańskie” dzieci, z reguły przygotowywano w domu do egzaminu do gimnazjum w mieście. W tym celu sprowadzano prywatnych nauczycieli. Organizowano nieraz taką szkółkę dla kilkorga dzieci z sąsiednich folwarków. Dobierano też czasem, do tej grupy, jedno lub dwoje dzieci wiejskich, wyróżniających się zdolnościami. Moja mama tak zaczynała swoją edukację w pierwszych latach XX wieku. Zakładam, że takie wyróżnienie spotkało małego Jasia. Zetknął się bliżej z życiem ludzi lepiej sytuowanych. On jeszcze nie wie, że jest to moment przełomowy, który wpłynął na jego dalsze losy, a tym samym na losy nas, jego potomków.

Tymczasem z małego Jasia wyrósł trochę większy Jachu. Nauczył się już nie tylko czytać i pisać, ale jest przygotowany do egzaminu wstępnego do gimnazjum w mieście. Był chłopcem pojętym. Zdobył „dworską” ogładę i opanował polski język literacki. Zrozumiał, że nauka jest drogą do sukcesu i warto dla niej ponieść wszelkie trudy. Może marzył o dalszej nauce w gimnazjum we Włocławku.

Spójrzmy na tą sprawę realnie. Z jakimi trudnościami, dla dziecka ze wsi, była połączona nauka wśród miejskich rówieśników, dzieci lepiej sytuowanych rodziców, sam byłem tego świadkiem w moim gimnazjum przed laty. Te argumenty, a może przede wszystkim koszty i problem finansowania nauki w gimnazjum, przesądziły, że Jachu został umieszczony „w terminie” u znajomego piekarza we Włocławku. Wybór zawodu nie był przypadkowy. Praca w piekarni odbywa się w nocy. Znaczna część dnia jest wolna. Można się uczyć. Dziesięcioletniemu chłopcu musiał go doradzić ktoś bardzo mu przychylny. Była szansa dalszej nauki.

We Włocławku w klasztorze o.o. Franciszkanów jest prowadzone potajemne nauczanie dla niewielkich grup młodzieży męskiej, która z różnych przyczyn nie dostała się do gimnazjum rosyjskiego. Aby się dostać do tej tajnej szkoły, za której prowadzenie groziło zesłanie na Sybir, trzeba było mieć na pewno dobre poparcie. Zakładając, że ojcowie i świeccy nauczyciele uczyli z pobudek patriotycznych bezpłatnie, trzeba było jeszcze mieć na stancję, utrzymanie w mieście, zeszyty i książki, czy lepsze ubranie. To były już przeszkody do pokonania,

Jachu miał w piekarni wyżywienie, kąt do spania, a że w dzień „posługuje” w klasztorze nikogo nie dziwiło. Pobożny chłopiec! To jego sprawa, mówili starsi.

Mijały lata pilnej nauki. Dziwak, zamiast iść z nami na piwo, stale czyta jakieś książki, to rosyjskie, to niemieckie, mówili koledzy. - Ale lepiej go nie zaczepiać. Umie się bić. Czy kilkunastoletni wyrostek nie mógł pomagać czasem ojcu, w niektórych jego podróżach? Który normalny chłopak siedziałby pod piecem przy takich okazjach przeżycia wielkiej przygody? Znając odwagę i ryzykancką żyłkę w charakterze mojego ojca, jestem pewien, że musiał odziedziczyć je po swoim ojcu i dziadku. Jestem pewien, że Jan był bardzo przywiązany do swego ojca. Może kierował się przede wszystkim, jego radami.

Jest rok 1877. Jachu ma 18 lat. Ukończył już wszystkie kursy w przyklasztornej szkole, ciągle się doksztalca jako samouk i odbywa praktykę czeladniczą w różnych piekarniach we Włocławku. Dwaj starsi bracia też mogą radzić sobie sami. Najstarsza siostra Agnieszka ma 16 lat, co wówczas wystarczyło do zamążpójścia. Tylko, jak to wtedy mówiono: „Choćbyś była jak dziewanna, bez posagu na nic panna”. Jest może na służbie w jakimś folwarku. Agnieszka i dwaj starsi bracia, urodzeni w Wielkim Księstwie Poznańskim, po zjednoczeniu Niemiec, są „poddanymi” Rzeszy Niemieckiej.

Rodzinę spotyka nieszczęście. W Kazaniu umiera ojciec. Ma dopiero 57 lat. Co było przyczyną śmierci? Znów tajemnica. Nie wiemy, czy matka z czwórką młodszych dzieci była przy ojcu. Jan z niedalekiego Włocławka mógł odwiedzać ojca w czasie choroby. Może był przy jego śmierci. Musiał

znać szczegóły tej tragedii. Andrzeja pochowano w Lubrańcu.

W tym samym roku, w Lubrańcu, a może w Redczu, przychodzi na świat szósty syn Wojciech. Czy ojciec zobaczył ostatniego syna? Nasuwają się dalsze pytania. Jakie były dalsze losy matki Antoniny i czwórki najmłodszych dzieci? Kto organizował pogrzeb ojca? Kiedy zmarła matka, może najmłodszy został wkrótce bez obojga rodziców? Jakie były losy i kontakty starszego rodzeństwa z rodzicami w ostatnich latach ich życia? Czy nie doszło do jakichś sporów przy podziale schedy, które zaważyły na dalszych stosunkach między rodzeństwem?

Antonina, jak inne żony i matki tamtych czasów, żyła w cieniu męża. Nic nie możemy o niej powiedzieć. A szkoda. Może poszukiwanie śladów rodziny Jaźwierskich mogłoby uzupełnić historię jej życia, której ostatnim znanym faktem jest urodzenie syna Wojciecha. Czy przeżyła ten poród? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Jan nie zajmował się matką, gdyby to było możliwe. Tu musi kryć się jakiś dramat. Spróbujmy, potomkowie, ocenić naszych przodków, Antoninę i Andrzeja.

Śladów materialnych niewiele. Pamięć o nim zabrały do grobu ich dzieci. Ludzie zbyt szybko odchodzą. Było, minęło! Jeśli odnajdą się jakieś nowe informacje, to wierzę, że moje opowiadanie zostanie uzupełniane, albo skorygowane. Jedyny trwały „ślad” Antoniny i Andrzeja, to tkwiąca w nas samych spuścizna, jakaś część ich genów.

Jakie cechy charakteryzowały naszego pradziada Andrzeja? Z niedługiej historii życia widzimy: - kochał Boga i Ojczyznę, gotów do największych poświęceń; - kochał rodzinę i dla zapewnienia jej lepszego bytu, opuścił strony rodzinne; - cechowała go pracowitość, prawość i uczciwość.

Zastanówmy się, co z tych cech pozostało w nas, jego potomkach? Wydaje się, że Jan był bardzo przywiązany do ojca. Z niedalekiego Włocławka mógł mieć częsty kontakt z rodzicami. Może korzystał z ich rad. Śmierć ojca musiał boleśnie odczuć. Zrozumiał, że teraz sam odpowiada za swą przyszłość. Sam jest sobie „sterem i okrętem”. Tragedia rodziny i jej rozproszenie, wywarła decydujący wpływ na jego dalsze życie. Wie na pewno, że jeśli uda mu się założyć własną, musi zabezpieczyć jej byt. Musi tak wychować dzieci, aby trzymały się razem. Słabsi muszą mieć oparcie w silniejszych. Czy to się uda?

W dawnych czasach młodzież dojrzewała znacznie wcześniej. 16 lat to normalny wiek do wyjścia za mąż dla dziewczyny. W wojsku Napoleona służyli kilkunastoletni żołnierze i dwudziestokilkuletni oficerowie i generałowie.

Jan zdobył we Włocławku dość dobre średnie wykształcenie. Chociaż nie dawało ono żadnych państwowych uprawnień. Był bardzo pracowitym i pojętym uczniem i słuchaczem. Dużo czytał, łatwo przyswajał praktycznie przydatne wiadomości. Po ukończeniu wszystkich kursów i jako samouk, władał biegle rosyjskim i niemieckim, zdobył wiedzę potrzebną do prowadzenia przedsiębiorstwa nauczył się stosowanej wówczas księgowości i jednocześnie opanował zawód piekarza. Bezwiednie był prekursorem wychowanków liceum zawodowego! Tak przygotowany, stał się poszukiwanym pracow-

nikiem w branży piekarniczej.

Największym problemem polskiej młodzieży męskiej owych czasów było wojsko. Nikt nie chciał służyć w wojsku rosyjskim, gdzie prostych żołnierzy traktowano wyjątkowo brutalnie, Polaków wysyłano na Daleki Wschód lub na Kaukaz. Kto mógł uciekał za granicę, niektórzy wyjeżdżali aż do Ameryki. Na to jednak trzeba było mieć fundusze choćby na wykupienie „szifkarty”, jak nazywano bilet na statek. Dobrą „ucieczką” był też wcześniejszy ożenek.

Jan wyjechał do Zagłębia Dąbrowskiego. Jestem pewien, że nie był to przypadkowy wybór, a doradził go ktoś życzliwy. Znalazł się w Będzinie, tej części Śląska, która pozostała w Królestwie Polskim. Tu rozwijał się w szybkim tempie przemysł ciężki, tu powstawały nowe fabryki i osiedla robotnicze. Przybywało ludności, powstawały warsztaty rzemieślnicze.

Można snuć domysły o kontaktach ojca „transportowca” w tym rejonie. W każdym bądź razie, praca, w rozwijającym się okręgu przemysłowym, na którym zależało władzom, też chroniła przed wojskiem. Jan znalazł zatrudnienie w kantorze wielkiej piekarni, należącej do jakiegoś koncernu, obsługującej wielotysięczne osiedla robotnicze. Teraz mógł praktycznie wykorzystać zdobytą wiedzę i zdolności. Wkrótce zdobył zaufanie kierownictwa i bardzo szybko awansował w hierarchii urzędniczej. Gdy dał się poznać jako dobry organizator, gdy wdrażane pomysły zwiększały dochód, już po trzech latach, właściciel, czy zarząd powierzył mu kierowanie piekarnią i licznym personelem. O ile znam życie, wydaje mi się, że i tu pomocnymi musiały być też czyjeś referencje.

Nie mamy bliższych informacji o warunkach pracy w Będzinie. Coś mi się majaczy w pamięci, że właścicielem piekarni był jakiś bogaty przemysłowiec, Niemiec, czy Żyd, a piekarnia była ubocznym, mało znaczącym w jego majątku, przedsiębiorstwem. Mógł sobie pozwolić na niewielkie ryzyko, które okazało się „strzałem w dziesiątkę”.

Jan miał zapewnioną, długoletnią, dobrze płatną pracę. To „otarcie się” o wielki przemysł i koła przemysłowców poszerzyło horyzonty zainteresowań Jana i nie pozostało bez wpływu na jego plany życiowe. Awans i efekty pracy zwiększały dochody Jana. Mimo młodego wieku zarabiał bardzo dobrze. Nie pił, nie palił. Oszczędzał. Rozpierała go młodość i powodzenie. Myślał o czymś własnym. Chciał pracować dla siebie i na swoim. Odłożył niewielki kapitał. Był wolny jak ptak. Szeroki świat stał przed nim otworem. Zastanawiam się, dlaczego nie osiadł na Śląsku lub nie wyemigrował dalej na Zachód, czy do Ameryki, tej Mekki ludzi przedsiębiorczych. Co ciągnęło go z powrotem w rodzinne strony? Może to ojciec „tułacz” wpajał mu miłość do ziemi kujawskiej, swej małej ojczyzny i niespełnione pragnienie zakotwienia się na niej na stałe. Posiadanie choćby płachetka własnej ziemi i zapuszczenie korzeni na swoim, to marzenie każdego bezrolnego chłopca. Jan, kiedy tylko mógł, zaglądał w rodzinne strony. Był bardzo przywiązany do swego małego braciszka Wosia, Myślał o powrocie ze zdobytym kapitałem

## Rozdział III

### Wielka miłość i własny dom

Młodość ma swoje prawa. Jan spotkał swą wielką miłość. Panna Antonina Klimaszewska, Tosia, o siedem lat młodsza od Jana, była „pańskim dzieckiem”. Pochodziła z rodziny, której majątek, jak wielu ziemianom w Polsce, skonfiskowano za udział w powstaniu. Dziadek Bełkowski, ze strony matki, zmarł na Syberii. Podobnie, wszystko straciła rodzina ojca, a on, rządca w pobliskim folwarku, zginął tragicznie. Została wdowa i pięcioro dzieci w bardzo trudnej sytuacji materialnej.

Nie wiem jak i kiedy młodzi się poznali. Może przez kolegów z przyklasztornej szkoły. A może połączyła ich ta sama tajemnicza ręka, która jak gdyby niewidzialnie, kierowała jego losami od czasów szkoły i dostarczania nie tanich podręczników, poprzez potrzebne referencje w Będzinie.

Opieka nad najbardziej poszkodowanymi rodzinami i dziećmi powstańców była bardzo dobrze zorganizowana. Dziadek-stryjek Wojciech wspominał, że jeszcze za jego czasów, zjawiała się czasem u nich jakaś starsza, bardzo bogata pani. Długo konferowała z Janem. Jakże romantyczne musiały być spotkania młodej pary. Tosia nie chciała małżeństwa z litości z kimś ze swej sfery. Wielu podstarzałych, bogatych konkurentów chętnie wybrałoby młodą atrakcyjną dziewczynę bez posagu, lecz z „dobrego domu”. W tych sferach „mezaliansy” były jeszcze źle widziane.

Czym zaimponował i zdobył serce dziewczyny ten wiejski chłopak? Obiecał, że zaopiekuje się nią i jej rodziną. To jeszcze „pisane palcem na wodzie”. Inni, bogaci też to obiecują i posiadają do tego realne podstawy. Jestem przekonany, opierając się na genach błakających się w genotypach członków naszej rodziny, że strona materialna odgrywała tu marginalną rolę. Spotkania młodych musiały być bardziej romantyczne. Może Jan na wspólnych spacerach nad malowniczą Zgłowiączką, nucił ukochanej smętną piosenkę: „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną...”. Wydaje mi się, że raczej wyprzedzał współczesnego nam, Marka Grechutę, szepcząc namiętnie: „Ty, tylko ty będziesz moją panią. Ty, tylko ty będziesz moja dama...”. Rozpierała go młodość, pewność siebie. Może Tosia usłyszała poważną obietnicę: „jeśli odda mu swą rękę, to zdobędzie dla niej majątek, taki sam jak utracony przez jej rodzinę. Tosia wybrała prawdziwą miłość.

Jan wieloletnią „katorżniczą” pracą udowodnił, że nie rzucił słowa na wiatr. Będzie tyrał by zdobyć dla rodziny „mamone”. Gdy młodzi byli, jak wtedy mówiono: „po słowie” Jan miał 23 lata, a Tosia 16. Oboje wiedzieli, że czeka ich ciężka praca. Jan, żeniąc się, brał na swoje utrzymanie teściową i jej dwie młodsze córki, Julię i Kazimierę. 18 letnia Marysia mogła już być dużą pomocą w jego planach.

Tosia miała starszego brata Waclawa. Był jeszcze ksiądz Klimaszewski, który został, po latach, proboszczem i budowniczym kościoła w Chelmicy. Mój ojciec mówił, że był on jego wujem. Nie wiem czy to był drugi rodzony brat, czy stryjeczny Tosi. Bracia radzili sobie sami. Może korzystali z „tajnej pomocy” dla rodzin powstańców.

Ślub był skromny, wesele niezbyt huczne. Nie

wiadomo, kto był uczestnikiem tych uroczystości ze strony Jana. Była licznie reprezentowana rodzina Tosi. Nasze rodziny łączyły odtąd bliskie kontakty aż do drugiej wojny światowej. Tak zaczynał się rok 1882. Panna Antonina, absolwentka pensji dla pańien we Włocławku, została żoną piekarza, chłopskiego syna i moją babcią.

Jedną z pierwszych wizyt młodzi złożyli w Redczu u starszego brata Michała, który tam się ożenił i pracował w folwarku. Tu Tosia poznała małego Wosia, pięcioletniego braciszka Jana. Dzieci na wsi od najmłodszych lat musiały pracować i każde miało jakieś stałe obowiązki. Oczywiście nie były to prace ponad siły. Życie było twarde. Głównym instrumentem wychowawczym była różga. Ciężko było szczególnie sierotom.

Woś był ślicznym dzieckiem. Drobny blondynek ze smutnymi niebieskimi oczyma od razu przypadł Tosi do serca. Gdy jeszcze z płaczem rzucił się w objęcia brata, którego, jak widać kochał i wyczekiwał. Oświadczyła, że go zabiera i że bez niego się nie ruszy. Nie było wielkiego sprzeciwu. Może jeszcze byli do zabrania Franciszka i Walenty. Woś został pierwszym pisklęciem w gniazdku Tosi i Jana. Był ulubieńcem całej rodziny. Zaraz zajęła się nim mama Tosi. Jej najmłodsza córka Kazia, była niewiele starsza od Wosia. Jan pracował dalej w Będzinie i tylko na niedziele i święta przyjeżdżał do żony, dwie noce spędzając w pociągu. Tosia wciąż mieszkała u mamy, razem z siostrami i małym Wosiem.

Magistrat włocławski rozpracował plan zabudowy nowej dzielnicy miasta, między linią kolejową, a koszarami carskiej kawalerii. Były to kiedyś grunty mieszczańskie włocławskiego, pana Kokoszki i stąd nazwano nową dzielnicę „Kokoszka”.

Wybór miejsca osiedlenia, to bardzo ważny moment. Tosi podobała się nazwa nowej ulicy: „Miła”. To, co skłoniło młode małżeństwo, że wybrali właśnie taką lokalizację na „gniazdo” zakładanej rodziny, to był głównie koszt i warunki nabycia działki. Warunki te odpowiadały kalkulacjom Jana. Wydał prawie wszystkie swoje oszczędności.

Czy decyzja wyboru Kokoszki na gniazdo rodziny okazała się trafna? Czytałem niedawno napisaną kronikę rodzinną, której autorka, w 1939 roku dziesięcioletnia dziewczynka, pisze, że wraz z mamą i rodzeństwem znalazła się pod opieką ciotek i wuja na tym brzydkim, zaniedbanym przedmieściu. Nie wspomina, że było to ukrywanie ich na terenie włączonym do Rzeszy, pod nosem Niemców nadzorujących każdy zamieszkały przez Polaków budynek i groziło najmniej obozem koncentracyjnym dla ciotek i wuja, a niechybną śmiercią dla jej mamy i nowo narodzonej siostrzyczki. Opisany przeze mnie, jeden, wyjątkowo dramatyczny epizod tej akcji, w której udział brali również sąsiedzi skwitowała: „Fantazjujesz, to niemożliwe”. Z dzieciństwa zapamiętała jeszcze dzielnicę biedy i nędzy, wśród której się wychowywaliśmy. Zamiast tak ważnych okoliczności pamięta jeszcze kwitnące wokół domu jaśminy.

Tak to jest ze spisywaniem wspomnień z dzieciństwa. Szczególnie przez dzieci, przed którymi ukrywano okrutną prawdę. Czytelnik kroniki otrzymał obraz niby prawdziwy, lecz jakże niekompletny. To prawda, że było dużo biedy. Nędzy - nigdzie nie

spotykałem. Natomiast mieszkali tu ludzie uczciwi i solidarni, gdy było trzeba, gotowi nieść pomoc sąsiadowi z narażeniem własnego życia, a dzielnica była może lepszą od tysięcy podobnych w miastach i miasteczkach porozbiorowej Polski.

Kokoszka, było to środowisko ludzi niebogatych. Elitę stanowili właściciele posesji i znajdujących się na nich warsztatów rzemieślniczych czy sklepików. Posesjonatami byli również pracownicy, średniego szczebla, fabryk, zakładów przemysłowych i instytucji, w tym pracownicy kolei. Stałe wynagrodzenie, przy kilkuletnim oszczędzaniu, pozwalało na zakup działki, budowę domu i kształcenie dzieci.

Większość mieszkańców, to lokatorzy powstających domostw: drobni rzemieślnicy, czeladnicy z warsztatów i robotnicy fabryk. Był wreszcie, raczej niewielki odsetek ludzi bez stałego zatrudnienia. Może tej, wybranej przez Jana i Antoninę lokalizacji, w sytuacji krytycznej po latach, zawdzięcza życie znaczna część ich obecnych potomków. Niezbadane są wyroki OPATRZNOŚCI. Jan przemyślał wszystko bardzo dokładnie. Miał wielkie plany, a realizacja ich wymagała kilku wieloletnich etapów. Żona i teściowa akceptowały projekty, gdy im przedstawił dokładne wyliczenia. Oszczędności wystarczy na pierwszą podstawową inwestycję. Z pensji trzeba będzie się utrzymać i odkładać na dalszą realizację pierwszego etapu. Wybrana działka nr 17., to zaledwie wąski pasek gruntu 14,6 metra szeroki a 60,6 długi, za to przy ulicy „nomen omen” Miłej, została natychmiast wykorzystana pod uprawę ziemniaków i innych warzyw. – Ziemia nie może leżeć odłogiem - stwierdziła teściowa i namówiła Jana do zlecenia jeszcze wykopania studni. Jan zgodził się od razu. Woda, potrzebna do podlewania ogródka, przyda się przy planowanej budowie. Wody gruntowe jeszcze długo nie będą zatruć ściekami.

Teraz już trzeba „zacisnąć pasa” i oszczędzać na wynajęcie trochę większego mieszkania i lokalu na sklep. Uruchomienie sklepu, który prowadziłyby żona z teściową, przyniesie dochód, ważny element kalkulacji i jest warunkiem powodzenia całego planu. Nadarzyła się okazja wynajęcie potrzebnych pomieszczeń w nowo budowanym drewnianym domu na sąsiedniej działce Miła nr, 19. Dwa lata oszczędzania, przez okres budowy, wystarczyły na wyposażenie i otwarcie sklepu. Brak jeszcze „kasy” na większe zapasy towarów. Na razie muszą być przyjmowane „w komis”. Gromadzone są środki, kompletowane wyposażenie. Wreszcie nastąpił oczekiwany moment. W dniu św. Jana Chrzyciela 24 czerwca 1884 roku, na imieniny właściciela, sklep: „TOWARY WSZELKIE - A. i J. GALCZAKOWIE” - został uroczyście poświęcony i otwarty. Uroczystość była skromna, co nikogo nie dziwiło. Młodzi muszą się dorabiać. Jan z „wolnego ptaka” stał się „krzakiem”, zapuścił korzenie na kawałku własnej ziemi. Stał się właścicielem gruntu i kupcem, obywatelem miasta Włocławka z czynnym i biernym prawem wyborczym do Rady Miejskiej.

Sklep ma powodzenie. Kokoszka się buduje. Potrzebne są podstawowe narzędzia i materiały przemysłowe. Jan z fabrycznego Zagłębia przysyła kolejną całe transporty, poszukiwanych towarów, które rozchodzą się błyskawicznie. Są też inne produkty pierwszej potrzeby. Sklep, to taki dawny typowy: „szuwaks, mydło i powidło”. Tosia wraz z

mamą i starszą siostrą Marysia, mają pełne ręce roboty. Czas przystąpić do realizacji drugiego etapu planu. Sąsiad, z Miłej 15, kolejarz, pan Janowski, wybudował długi parterowy dom szczytem do ulicy. Tylina ściana jest na granicy działki Jana. Od prawej strony jest już ściana domu i zabudowań sąsiadów Matuszewskich, Zmniejszyło to długość potrzebnego ogrodzenia terenu. Ogrodzenie potrzebne, bo większa część placu staje się składem materiałów budowlanych. Jan kupuje je w większych ilościach i nadmiar odsprzedaje z zyskiem.

Trochę z dala od ulicy, przy ścianie domu Janowskich powstała bardzo szybko murowana, niewielka „chatka Puchatka”. Dwa okienka i jeden wchód do niej. Wszystkiego trzydzieści metrów kwadratowych, na których, sień, kuchenka ze spiżarnią i jeden pokój. Za to wykończenie jak najlepsze. W tym domku zamieszkali młodzi i Woś, który jest już uczniem czteroklasowej, miejskiej powszechnej szkoły. Tu otwarto też kantorek sprzedaży materiałów budowlanych, którymi handluje Tosia. Minęło pięć lat małżeństwa „jak z bicza strzelił”. Na świat przychodzi pierwsza córka Jadwiga.

Jan oświadcza, całując żonę: „Mamy własną ziemię, własny dach nad głową i własną wodę, teraz czas na własny chleb dla nas i chleb powszechny dla bliźnich”. Projektowanie głównego domu, z piekarnią i sklepem, trwało od dawna i było ulubionym zajęciem małżonków. Dom ma być duży, dla rodziny rozwojowej. Ponadto Tosia zgłasza dodatkowe warunki: ma być zwrócony frontem do ulicy i ma przypominać nie wiejską chatę, a szlachecki dworek. Budowniczy, który miał opracować projekt, uśmieł się z tych założeń. Na działce szerokości 14 metrów. Dworek z piekarnią i sklepem, powtarzał. Może zbudujemy dwa oddzielne budynki? Piekarnię ze sklepem od ulicy i trochę dalej „dworek”. Na dwa nie starczy nam środków, brzmiała odpowiedź. Zaprojektował zgodnie ze zleceniem. Gdyby przed znajdującą się po środku bramą ustawić ganek z dwoma kolumnkami a przejazd pod domem, zamienić na obszerną sień, to dom z trzema mansardami od frontu, przy niewielkiej wyobraźni, mógłby uchodzić za dworek. Tosia była zadowolona.

Prawa strona parteru, to sklep z zapleczem, połączone z oficyną od podwórza, gdzie umieszczono piec piekarniczy i pomieszczenie do wyrobu pieczywa. Lewa strona parteru, to niewielkie, ale wygodne trzypokojowe mieszkanie z kuchnią i przedpokojem. Tylina elewacja prosta. Nad wjazdem, duży, zadaszony balkon, na który prowadzą, zewnętrzne, też zadaszony, drewniane schody. Z balkonu wejście do dużej sieni pierwszego piętra, a z niej wejścia do czterech niewielkich mieszkańek i stryszku. Woś otrzymał na piętrze, oddzielny pokój z mansardą, z wejściem z piekarni.

Projekt został zatwierdzony, ale za zgodą na rozpoczęcie budowy i nadzór trzeba zapłacić sporo rubli. Opłatę wyliczają w zależności od przewidywanego kosztu budowy. Jest problem, bo na placu już sporo materiałów, a kasa na razie nie wytrzyma takiego wydatku. Bez zezwolenia nie wolno rozpoczynać budowy. Jan znajduje wyjście. Jest pewne niedopatrzanie w rosyjskich przepisach. Jeśli nowo wznoszony budynek, ma już wybudowany komin, to oznacza, że budowa jest tak zaawansowana, że nie podlega rozbiórce. Właściciel podle-



ga karze pieniężnej, która wynosi tylko około jedną dziesiątą urzędowych opłat za zezwolenie. Następuje mobilizacja sił. Przez sobotę niedzielę i dwie noce staje główny komin piekarni i kawał ściany. Budowa jest zaawansowana, Zjawia się „stójkowy” i jego zwierzchnik. Przyjmują obfity poczęstunek, piszą protokół. Jan płaci „sztraf” i można spokojnie budować dalej. Teraz mury rosną do góry. Zakończono więźbę dachową, zgodnie ze zwyczajem, uroczystym zdejmowaniem wieńca. Ekipa budowlana zadowolona. Wprawdzie Jan musi opuścić towarzystwo, bo wyjeżdża do Będzina. Tosia spełnia wspaniałe rolę gospodyni. Można wypić i jest, czym zakąsić. Wszystkie środki trzeba przeznaczyć na budowę i wyposażenie piekarni. Reszta domu musi zostać na razie w stanie surowym.

Wreszcie „zapięto ostatni guzik”. Piec ma dobry ciąg i piecze równo. Budował go majster zduński Malendowicz. Robota opłaciła mu się nie tylko finansowo. Zakochał się w Marysi, siostrze Tosi i to z wzajemnością. Wszedł do rodziny. Jego syn i wnukowie byli też dobrymi zdunami. Stawiali wszystkie nasze piece i kuchnie. Do mego ojca zwracali się: „wujku”. Dopiero teraz, po latach, na podstawie informacji przekazanych przez ciotkę Hankę, dowiedziałem się, jakie to było pokrewieństwo.

Piekarnię sprawdzała „Komisyja Urzędu Zgromadzenia Starszych Cechu Piekarzy Miasta Włocławka”, zgodnie z odnośnym artykułem postanowienia Księcia Namiestnika Królewskiego z dnia 31 grudnia 1816 roku. Oceny są pozytywne. Piekarnia może zostać otwarta i uruchomiona. Prowadzenie piekarni wymagało dyplomu mistrzowskiego. Jan jest teraz właścicielem piekarni. Podobnie jak w Będzinie, gdzie nadzoruje pracę mistrzów zmianowych i tu zatrudnił mistrza, odpowiedzialnego za produkcję pieczywa. Przedstawia „Komisyji” jego dyplom. Formalności zakończono zgodnie ze zwyczajem, poczęstunkiem i zaproszeniem na uroczyste poświęcenie i przyjęcie z okazji otwarcia. Teraz jeszcze nad sklepem zamocowano piękny szyld, zgodnie z przepisami, po polsku i po rosyjsku: „PIEKARNIA JAN GALCZAK”

## Rozdział IV

### Własnymi siłami

Chińczycy uważają, że cztery ósemki w dacie zapewniają szczęście i pomyślność przedsięwzięciu. O tym na pewno nie wiedzano, gdy w którąś sierpniową sobotę 1888 roku odbywało się uroczyste poświęcenie piekarni, a następnie, oczekiwane przez wielu, wydarzenie: przyjęcie dla zaproszonych gości i dla „swoich”, mieszkańców Kokoszki. Jan z rodziną mieszka tu już kilka lat. Wiadomo, dorabiają się. Teraz musi się „wkupić”. Musi udowodnić, że jest „swój” w tworzącej się, przeważnie również jak on, niedawno tu osiadłej społeczności. Sąsiadów z ulicy Miłej jeszcze nie ma zbyt wielu. Ulica, to zaledwie kilka, przeważnie drewnianych domów. Strona wschodnia, to w większości puste parcele aż do torów kolejowych. Ulica Zimna, to droga gruntowa, od ulicy Kapitulnej, przez puste ugory zwane „Maćka Pole”. Zabudowana jest, przeważnie tylko południowa strona ulicy Kapitulnej. Nazwanej prawdopodobnie tak, bo prowadziła wśród sadów i pól, opadają-

cych malowniczo, do płynącej w dole Zgłowiączki, a stanowiących własność kanoników włocławskiej kapituły katedralnej.

Nowa dzielnica jest jeszcze słabo zaludniona. Za to tonie w zieleni. Pełno tu starych drzew i krzewów bzu i jaśminu. Przy powstających domostwach zakładane są sady i ogrody warzywne. W przygotowaniach „uroczystości” spontanicznie pomagają sąsiedzi i znajomi. Wspólnymi siłami kompletuje się potrzebną zastawę i wyposażenie. Z desek piekarniczych powstają zaimprovizowane stoły i ławy. Kobiety, według wskazówek Tosi i jej mamy, przygotowują, częściowo w swych kuchniach, potrawy z dostarczonych surowców. Panuje ogólna wesołość. Udział w pracach bierze dużo młodzieży. Panuje ogólna wesołość.

Zaproszeni goście dopisali. Jest ksiądz wikary od św. Jana, który dokonywał aktu poświęcenia. Kokoszka jeszcze nie ma własnej, oddzielnej parafii. Są władze cechu piekarzy. Są osoby, współpracujące przy budowie i wyposażeniu piekarni. Dla sąsiadów i znajomych mieszkańców Kokoszki wstęp jest wolny. Do nich nie rozsyła się zaproszeń. Wystarcza tylko znajomość z gospodarzami. Stroje odświętne, wyrażają szacunek dla gospodarza. Wszyscy traktowani są jednakowo. Nie jest ważnym stan zamożności czy pochodzenie. Przyszedł młody Żyd Gašiorowski w odświętnym czarnym chałacie i nikogo nie dziwi, że siedzi przy stole w „jarmulce” na głowie. Nikt go nie namawia do jedzenia bigosu czy kiełbasy na gorąco. Jest dobrym sąsiadem, też właśnie wykańcza w sąsiedztwie murowany domek na warsztat krawiecki i siedzibę rodziny. Jest zaprzyjaźniony z Janem Niemiec Schendel, który przy drodze prowadzącej do brodu przez Zgłowiączkę założył piękny sad z pasieką i też się buduje.

Co jedzono i pito? Musiała stać na dostarczonych krzyżakach i uroczystie odbita, solidna beczka piwa. Włocławek słynął z browarów i dobrego „biskupiego” piwa. Sierpień, to jeszcze lato. Lata były niegdyś upalne, a zimy śnieżne i mroźne. Podawano pewnie jakiś chłodnik kujawski. U piekarza nie brakowało świeżego chleba do głównych dań, którymi były, jak sobie wyobrażam, wyżej wspomniane: nieśmiertelny bigos i kiełbasa na gorąco. Zaproszonym gościom podano na pewno coś wykwintniejszego.

Przyjęcia i poczęstunki z okazji otwarcia kolejnych warsztatów rzemieślniczych, ta swoista forma promocji, pokazywały, jakże różny od obecnego, charakter mieszkańców ówczesnego przedmieścia. Świadczyły o ich „naturalnej” kulturze. Czym się różniły od dzisiejszych? Jakimś, niewymuszonym, społecznym zaangażowaniem, jakąś tworzącą się od razu wspólnotową więzią „swoich”. Nie mówiąc już o znacznie wyższej kulturze osobistej prostych ludzi. Nie było ani pijaństwa, ani awanturnictwa. Toczyły się poważne rozmowy o sprawach dnia codziennego. Żarty i opowiadane facje zachowywały pewien poziom przyzwoitości.

Podobne imprezy, zależnie od pojemności salkiewki, organizowano z okazji ważnych uroczystości rodzinnych. Kojarzono pary i omawiano „mariasze”. Tu zdarzały się nieporozumienia, o różnym nasileniu emocji, kończące się nieraz odwiedzinami u jakiegoś felczera. Muszę opowiedzieć o ostatniej takiej imprezie na ulicy Miłej, która się kojarzy w mej

pamięci z „Ostatnim Zajazdem na Litwie”.

Było to dokładnie 50 lat później, w roku 1938. Na naszej ulicy, w dwupiętrowym domu, mieszkał młody elegancki mężczyzna. Kolega z podwórka pokazując go kiedyś powiedział szeptem; to „Stasiek-złodziej”. Zjawiał się bardzo rzadko. Częściej przed domem pokazywała się policja. Za to, niemal codziennie wychodziła na spacer z psem, śnieżno białym szpicem prowadzonym na czerwonej smyczy, jego żona, czy towarzysza życia. To była „szprycha”! Blondyna, może „dwudziestka” na moje wówczas trzynastoletnie oko. Latem zawsze w obcisłych sukienkach w kapelusiku i rękawiczkach prawie do łokcia. Gapił się jak pięknie szła na swych wysokich obcasikach. Jakby się urwała z afisza amerykańskiego filmu.

W parterowym domku naprzeciwko mieszkali rodzice Staśka. Tu właśnie, w którąś letnią sobotę rozpoczęła się, ta pamiętna impreza. Mieszkanie od strony podwórza połączono z wypożyczonym namiotem, gdzie ustawiono stoły. Od rana kursowały dorożki zwożące „zaopatrzenie” i gości. Po południu słychać już było muzykę i śpiewy, z powtarzaniem, „Sto lat...” i szum, jak w ulu. Jedzono, pito, śpiewano i tańczono do białego rana. Znowu kursowały dorożki. W niedzielę, przed południem przerwa, na pójście do kościoła. Podobno ksiądz u św. Stanisława zebrał na tace jak nigdy. Po kościele ciąg dalszy. Wywołał mnie mój przyjaciel Władek. – Chodź, pójdziemy do Staśka. Zapraszają wszystkich z naszej ulicy. Dla „swoich” wstęp wolny. Wybierałem się, ale mama mnie przyhamowała. W poniedziałek wracałem ze szkoły. Dorożki zabierały rozbawionych gości. Widać impreza dobiegała końca. Doszedłem już do okien, przez które chciałem zajrzeć do środka. Za rękaw chywa mi Władek. W rękę trzyma pączka. Buzie ma umazana jakimś ciastkiem. – Chodź – namawia, - są jeszcze ciastka i lemoniada. Namyślałem się przez chwilę. A tu łomot. Na ulice, pod nasze nogi wypada okno razem z ramą. Wyskakuje facet w poszarpanej białej zakrwawionej koszuli i czarnym garniturze z urwaną klapą, a za nim drugi, też wizytowo ubrany, z toporkiem w rękę i gnają w stronę ulicy Kapitulnej. Przez okno widzę zastawiony stół i siedzących tam gości. Jakby nic się nie stało. Tylko kilka osób robiło porządek, podnosząc jakieś krzesła i wycierając podłogę. Po chwili wraca facet z toporkiem. Zbiera połamaną ramę okienną. Zgarnia szkło. Nie umie się łachudra zachować przy stole. – Podsumowuje wydarzenie – zwracając się do nas, gdy pomagamy zbierać kawałki szyb.

To był schyłkowy okres „swoich” na ulicy Miłej. Tylko nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Zmieniła się i ta warstwa społeczeństwa. „Złodziei- dzentelmenów” zastąpili wyzuci z sumienia: oszuści, bandyci, oprychy i zbiry, często w eleganckich garniturach i luksusowych samochodach. Na podstawie moich obserwacji w z innych krajów, mogę stwierdzić, że jeśli chodzi o odsetek tego niechlubnego marginesu społecznego, to należymy do światowej czołówki.

Piekarnia ruszyła pełną parą. Pieczywo smaczne i poszukiwane. Zatrudniono bardzo dobrych piekarzy. Jan nie musi ich nadzorować. W Będzinie zorganizował rodzaj kursu przygotowującego do egzaminów mistrzowskich. Uczy technik piekarniczych

i obowiązujących przepisów. Kieruje teraz dwiema piekarniami. Własnej nie może poświęcać dużo czasu. Pracuje kilkanaście godzin na dobę. Wiele nocy spędza w pociągu. Nieprzerwanie trwa wykończenie domu. Tosia dzielnie towarzyszy mężowi w tym trudzie. Dzieci, dom, pod nieobecność męża, wszystko na jej głowie. Trudno „wiązać koniec z końcem”. Mimo to, oko młodej gospodyni raduje postęp robót. Plan jest realizowany bez zakłóceń. W codziennym trudzie dni płynęły jak przesuwane ziarenka różańca.

Rodzina już w nowo wykończonym, wygodnym mieszkaniu. Wygodnym oczywiście na ówczesne warunki. We Włocławku jeszcze nie wybudowano elektrowni. Podstawowym oświetleniem są lampy naftowe i jeszcze powszechnie używane świece. Wodę trzeba ciągnąć ze studni kubełkami mocowanymi do długiego łańcucha nawijanego na drewniany walec. Brudną wylewano po prostu na jezdnię ulicy. Obiekt, do jakiego „nawet król piechotą chodzi”, tak zwana „wygódka”, ukryta w końcu działki, za krzakami dzikiego bzu.

Nowe mieszkanie zaludnia się. Rodzą się córki - w roku 1889 Władysława, w 1891 Felicja. Trzy córki! Przejmą ideę ojca, czy wyfruną w świat i trzeba zacząć oszczędzać na posag? Za męża wysła drugą szwagierka Jana, Julcia. Nazywaliśmy ją „babcią-ciocia Rosińską”. Nie dopytałem się, jaki był los mamy Tosi, naszej prababci Józefy Klimaszewskiej. Kiedy opuściła córkę i zięcia? Dokąd się przeniósła? Kiedy zmarła? Nie wiem, kiedy czwarta córka Kazimiera wysła za męża. Nazywała się Adamczewska. Znałem jej córkę Władzię, jej męża Józefa Leśniewskiego i drugą Janinę, jej męża Rutkowskiego oraz dzieci z tych małżeństw, wnuki cici babci Kazimiery. O babci Julci Rosińskiej i jej rodzinie, postaram się jeszcze napisać.

Niestety, II Wojna Światowa przerwała kontakty. Jan i Tosia zostali sami na gospodarstwie. Trzeba zatrudnić „pomoc” do dwóch sklepów i domu. Zlikwidowano mieszkanie przy sklepie wielobranżowym w sąsiednim domu, który Tosia prowadzi od tam sama. Czeka, aż córki dorosną i pomogą. Jan musi częściej dojeżdżać do Włocławka. Dwie noce każdego tygodnia spędza w pociągu. We Włocławku powstało szereg zakładów przemysłowych i powstają dalsze. Miasto się rozwija. Ulica Miła otrzymuje brukowaną jezdnię, krawężniki i rynsztoki, którymi w dalszym ciągu płyną ścieki „do nikąd”. Na naszej działce też powstają dalsze inwestycje. Piec piekarniczy jest opalany drewnem. Szczapy przywożone z lasu, trzeba rozłupywać na cieńsze i suszyć na piecu. Konieczna jest drewnitnia, szopa, na zapas drewna. Przybywa mieszkańców miasta. Poszukiwane są niedrogie mieszkania. Tą szansę trzeba wykorzystać. Zostaje wynajęty „domek”, i cztery mieszkanie na piętrze. Jan wydłuża oficynę, w której znajduje się piekarnia i powstaje tu jeszcze jedno mieszkanie dwupokojowe z kuchnią. Ta z córek, która wyjdzie pierwsza za męża, będzie mogła tu zamieszkać. Trzeba wybudować ciąg komórek. Każdy z lokatorów musi mieć gdzie przechowywać opał na zimę i różne zapasy. Niektórzy trzymają tu króliki, gołębie, a nawet kozy. Tym inwentarzem zajmują się przeważnie dzieci. Połowa działki jest już zabudowana, reszta aż do ulicy Zimnej, służy jako ogródek warzywny. Wynajmowanie mieszkań, przynosi dodatkowy dochód.

Rodzina powiększa się. W roku 1896 przychodzi na świat czwarta córka Stefania, a w 1898, z dawna wyczekiwany syn Kazimierz, mój ojciec.

Jan podsumowuje swe osiągnięcia. Skończył czterdziesty rok życia. Rosjanie mówią: „tritcat nie ženat, sorok nie bogat –sowsiem durak” Udała się podstawowa część planu. Ma dobrą stałą pracę. Ma dobrą kochającą żonę i dostatni dom. Wspólnym wysiłkiem stworzyli bazę materialną dla siebie na stare lata i dla dzieci. Marzyli mu się synowie, lecz trzeba przyjmować, „co Bóg daje”. Ma przed sobą jeszcze kilkanaście lat pracy i ma jeszcze dalsze projekty do zrealizowania. Niema mowy o spoczywaniu na laurach.

Nadchodzi koniec wieku XIX. Jedni wypełniają kościoły i spędzają dni na modłach, inni bawią się, piją na umór. Może nadchodzi czas Apokalipsy? Wielkie mocarstwa europejskie i Japonia pęcznieją od zdobyczy terytorialnych. Konflikty interesów muszą doprowadzić do wielkiego starcia. W Rosji kielkuje wielki bunt społeczny. Reakcja cara, to dolewanie oliwy do ognia. Sprawy polskie są głównym tematem w kraju. Jedni są za pozytywną pracę, w istniejących warunkach, inni za zbrojnym przewrotem. Józef Piłsudski organizuje grupy bojowe. Roman Dmowski wzywa do spokojnej pracy dla podniesienia kultury i dobrobytu polskiego społeczeństwa. Henryk Sienkiewicz pisze ku pokrzepieniu serc. Włocławek nawiedza epidemia ospy. Wprawdzie już dawno wynaleziono szczepionkę. Powszechne szczepienie wprowadzono dopiero w niepodległej Polsce. Choruje i umiera wiele ludzi. Zachorowała również dziesięcioletnia Władzia. Cudem udało się ją uratować, jednak na buzi zostaje kilka śladów. Nieszczęścia chodzą zwykle parami.

Jan ulega nieszczęśliwemu wypadkowi. Cofając się, gdy przenosił na ramieniu deskę z kilkunastoma bochenkami świeżego chleba, wpadł na plecy do kanału, do którego wyrzuca się z pieca resztki nie do końca wypalonego drewna, aby po zalaniu wodą, stało się poszukiwanym „węglem drzewnym”. Wypadek jest poważny. Uszkodzenie kręgosłupa. Leczenie przewiduje się bardzo długie. Jest obawa trwałego kalectwa. Ma również poważne konsekwencje finansowe. Kończy się możliwość pracy w Będzinie, co jest znacznym zmniejszeniem dochodów. Czy to koniec wielkich planów? Czy czeka go los inwalidy, skazanego na pomoc innych?

## Rozdział V

### Budujmy wspólny dom

Woś ukończył naukę w szkole powszechnej i praktykę w kilku piekarniach, Miał swój pokój na pierwszym piętrze i spokój do nauki. Śladem brata oraz dzięki jego znajomościom w klasztorze, korzystał z tajnego nauczania. Jest zapalonym samoukiem. Tylko nie ma zdolności do nauk ścisłych. Jest ciekawy świata, innych kultur. Interesuje go historia, literatura. Brat sprowadza go na ziemię. Trzeba mieć najpierw, z czego żyć. Zabiera go do Będzina i zatrudnia w kierowanej przez siebie piekarni. Tu mieszka rodzina, Żonaty brat Tosi, Waclaw. Mają duże mieszkanie, Wojciech dostaje wolny pokój. Córka Waclawa jest od Wojciecha o dziesięć lat młodsza. Jest dorodną panną. Wydaje się być

przychylną młodemu lokatorowi. Woś jest po uszy zakochany. Z natury nieśmiały, przeżywa męki. Boi się „kosza” i śmieszności. Czy nie pomyślał, że wykorzystał gościnność? Nie wie co robić.

Wypadek Jana powoduje radykalne zmiany w życiu rodziny. Wojciech natychmiast wraca do Włocławka. Musi zająć się piekarnią. Jan od około roku jest przykuty do łóżka. Usztywnienia, masaże. Szczęśliwie mija bezwład nóg. O większym wysiłku i dalekich podróżach nie ma już mowy.

Wojciech przyznaje się bratu, że jest w Będzinie dziewczyna, w której jest zakochany i nie wyobraża sobie bez niej życia. A czy ona wie o tym? – pyta brat. - Nie wiesz? Może się domyśla. A dawno ją znasz? Od dziecka? To wiem już o kogo chodzi i cieszę się bardzo. Siadaj w pociąg fuvaro, jedź do Będzina i oświadczyć się, bo ci sprzątną dziewczynę z przed nosa – wyjaśnia i decyduje Jan. Nieśmiały konkurent jedzie i wraca załamany. Co tam zaszło? Niech zostanie tajemnicą.

W Będzinie mieliśmy ciocię Rucińską, a Wojciech wrócił do swego pokoiku z mansardą, do swoich książek Prenumeruje polskie miesięczniki literackie z Krakowa, które przepuszcza rosyjska cenzura, zagłębia się w studiowaniu Pisma Świętego. Ani mowy nie ma o małżeństwie. Jest przystojny i miły. Dziewczęta z sąsiedztwa tylko jego oblegają ze swymi specjalami do wypieku w piekarniczym piecu. Odtąd poświęci się, nie szczędząc sił, realizacji planów brata, Będzie pracował dla jego dzieci i wnuków. Będzie żył ich radościami i smutkami, nigdy nic dla siebie nie żądając. Czy potrafią to docenić? Tu muszę wyprzedzić wolno płynący czas w moim opowiadaniu o kilkadziesiąt lat. Zawsze dziwił mi się, że dziadek-stryjek Wojciech się nie ożenił, że był starym kawalerem. Kiedyś zagadnąłem go na ten temat. Nie odpowiedział. Zauważyłem, że sprawiłem mu wyraźną przykrość. Ojciec powiedział mi tylko, że dziadek-stryjek przeżył jakąś tragedię miłosną, która bardzo go odmieniła. Aby nie uszło mej pamięci pewne wydarzenie, pozwolę sobie czasem antycypować niektóre fakty. W latach pięćdziesiątych XX wieku jeździłem kilkakrotnie do Łegnicy, do kwatery wojsk radzieckich, gdzie zapraszali mnie jako konsultanta w sprawie budowy lotniska. Ojciec prosił, żebym wstąpił do Będzina i odwiedził rodzinę Klimaszewskich i Rucińskich. Zboczyłem z trasy. Pod podanym adresem otworzyła mi sympatyczna staruszka, to była ciocia Klimaszewska, synowa Waclawa Była również jej córka. Bardzo ucieszyły się z mojej nie zapowiedzianej, wizyty. Obsypały mnie pytaniami, o rodzinę we Włocławku.. - Idź, powiedz ciocie, jakiego mamy gościa. - Poprosiła ciocia. Po jakimś czasie córka wróciła z drugą miłą staruszką, ciocią Rucińską. Po serdecznym przywitaniu, przy jakiejś kawie, ciocię Rucińską interesowała tylko jedna osoba, dziadek-stryjek Wojciech. – Czy jest zdrow, jak wygląda, co porabia? Łzy pokazywały się w kącikach jej oczu. Szybko je wycierała trzymaną w ręku chusteczką. A dziadek-stryjek, gdy opowiadałem o tym spotkaniu. Wysłuchał relacji. Nie pytał o nic. Odszedł, gdy skończyłem. Po chwili zauważyłem, że stoi przy oknie w drugim pokoju, szepcze jak zwykle swoje modlitwy, tylko po twarzy płyną łzy, których nie ociera. Wycofałem się cichutko. To była wielka miłość! Wracajmy do dawnych czasów.

Korzystanie z „Drogi Żelaznej” nie jest takie tanie.

Lśniące czystością wagony i dworce. Wytworne restauracje dworcowe. Jeszcze niewielu pasażerów. Nie wszystkich stać na taki luksus. Są wprawdzie cztery klasy. Najtańsza, to ławki w towarowym wagonie. Mój znajomy mnich buddyjski przekonywał mnie o wyższości pieszego wędrowania nad innymi sposobami przemieszczania się, a szczególnie nad jazdą samochodem: Pieszko wędrujesz długo, nie raz bardzo długo lecz ile możesz w tym czasie przemyśleć, ile ważnych problemów rozważyć. Droga nastraja do rozmyślenia, co czeka cię za zakrętem, za horyzontem i dalej w życiu. Prowadzenie samochodu: na poważnie rozmyślanie niema ani warunków, ani możliwości. Pomyśl czy nie straciłeś więcej niż zyskałeś na tym pośpiechu? Ostatecznie korzystaj z obcego transportu. Jan, podróżując przez siedemnaście lat między Będzinem i Włocławkiem, w pociągach miał wiele czasu na rozmyślanie. Były to „plany walki” dwojga młodych ludzi o zapewnienie rodzinie trwałego dobrobytu. Teraz, rozmyślając przykuty do łóżka, zdaje sobie sprawę, że jest unieruchomiony, może na zawsze.

Udało mu się zrealizować podstawową część planu. Dziękuje za to Bogu i przyjmuje z pokorą to, co go spotkało. Wszak zdążył zabezpieczyć się materialnie na taką okoliczność i ma dobrą opiekę kochającej rodziny. Realizacja projektu wymaga jeszcze wielu lat. Czy dla dzielnej żony nie będzie to ponad siły? Czy znajdą wśród swych dzieci wykonawców, kontynuatorów, których może wspierać tylko rada?

W czasie choroby brata, Wojciech wiele czasu spędzał pielęgnując go i na rozmawiając o planach na przyszłość. - Musisz się koniecznie ożenić. - Tłumaczył Jan. - Jesteś nie tylko moim bratem, ale również, przybranym synem. Uczestniczysz w naszym majątku tak samo, jak każde z moich dzieci. Sprowadzisz żonę, weźmiecie na razie jedno z mieszkań, na przykład to w „domku”. Piekarnię trzeba unowocześnić i rozbudować. Liczę na ciebie i na Kazika, bo z dziewczynami nigdy nie wiadomo. Na wolnej części działki wybudujemy wielki nowoczesny dom ze wszystkimi wygodami. Pomieścisz się ty z rodziną. Zmieści się Kazik. Może i które dziewczyny ze swymi rodzinami. Jeśli wszyscy będą pracować wspólnie, jeśli uda nam się utworzyć takie rodzinne przedsiębiorstwo, za kilkanaście lat wykupimy sąsiednie działki, a tu powstanie fabryka dobrej, zdrowej żywności.

To był ten wieloletni, docelowy projekt, który zaszczerpił również memu ojcu. Projekt do zrealizowania w każdym normalnym kraju. W czasach, które nadeszły i w naszych warunkach, jak się okazało, pełna „Utopia”.

Jan nie był prorokiem. Rzeczywistość pokrzyżowała ambitne plany. Czy wybrał właściwą drogę życia? Aby osiągnąć wielki sukces, trzeba: umieć zdobyć potrzebne środki; znaleźć się w odpowiednim czasie, w odpowiednim miejscu i mieć szczęście. Ułatwia to jeszcze brak takich cech jak honor, czy sumienie. Środki; - zdobywał. Czas; - nie był najgorszy. Miejsce; - szkoda, że to nie była Ameryka. Szczęście; - jeśli chodzi o warunki do zrealizowania założonego planu, to miał pecha. Sumienie; - bywają tacy „bohaterowie”, którzy podejmują ryzyko, nie zważają, że dotyczy ono również najbliższych.

Jan żył w czasach, w których płodzenie i rodze-

nie dzieci, dla ludzi głęboko wierzących i religijnych, było konsekwencją zawartego przed Bogiem i ludźmi małżeństwa. Nie było państwa opiekuńczego. Nie było ubezpieczeń socjalnych. Zabezpieczeniem dla potomstwa i na starość, był tylko zgromadzony majątek i własna rodzina. Oczywiście, przyjmowano też taką filozofię życia: „Dał Bóg dzieci, da i na dzieci. Aby tylko je odchowić i fru... niech lecą z gniazda na swoje. A na starość trzeba sobie coś odłożyć”. Była to „filozofia ptaków”. Wydaje się, że Jan, może widząc rozproszenie i nie lekkie życie własnego rodu i ich rodzin, preferował „filozofię mrówki”. Mrówki mają jeden cel: Wychowanie następnych pokoleń i budowę mrowiska, które je zabezpieczy. Mrowisko zalewane przez wody powodzi, ratuje się w ten sposób, że mrówki łącząc się nóżkami, tworzą żywą tratwę. Zatopione i martwe też jeszcze służą rodzinie. Do tego poświęcenia zmusza je zakodowany w genach instynkt, prawo zachowania gatunku. W społeczeństwie ludzkim, takim naturalnym, „spoiwem” jest więź rodzinna. Silne rodziny, to silny naród odporny na wszelkie „powodzie i wiry „rzeki czasu”. Tylko tu jest problem: Brak ochotników na „mrówki robotnice-bohaterki”.

Minęło 60 lat We Włocławku domek rodziców, na części działki od ulicy Zimnej, pęka w szwach. Jest okres urlopowy epoki prób budowy „socjalizmu z ludzką twarzą”. Piekarnia ojca, skradziona podstępnie przez najuczciwszą władzę świata, dogorywa eksploatowana kilka lat, bez remontu i konserwacji, przez miejską spółdzielnię. Im więcej produkuje, tym większa strata i więcej trzeba dopłacać do produkcji kitu, nie chleba, jak go nazywa dziadek-stryjek. Dom od ulicy Miłej rozpada się. Komorne płacone przez lokatorów nie starcza na opłacenie dozorczy, żeby pozamiatła ulicę.

Zjazd rodzinny. Jest moja siostra Alina z mężem i dziećmi. Jest Bożenka z rodziną. Mój syn Marek chodzi do szkoły we Włocławku. Przywiozłem moją młodą żonę. Jest wesoło i rodzinie. Chodzimy na spacer z całą gromadą dzieci. Mnie nie odstępują kilkuletni siostrzeniec Jaruś. Zaprzęta go jedna myśl: - Wujku, zbudujmy tu taki wielki dom dla całej naszej rodziny. Chodźmy dowiemy się czy nam wypożyczą ten duży dźwig. Czy to może tak liczne zgromadzenie potomków ściągnęło „cień” Jana. On tak marzył, żeby słyszeć tu gwar wesołych, młodych głosów rodziny. Przecież to dziecko odbierało myśli swego pradziada, które krążyły wśród tych ruin jego materialnych „śladów”! Było minęło. Rozwijał je „wiatr historii”. A może zniszczyła tylko ludzka głupota? Jan nie rezygnuje z pomysłu założenia rodzinnego przedsiębiorstwa. Zdaje sobie sprawę, że jego dobry brat nie będzie „wojownikiem” walczącym z przeciwnościami. Wątpliwe czy kiedyś założy rodzinę. Może być pracowitym, solidnym pomocnikiem. Czy może liczyć na córki i na syna? To się dopiero okaże.

Z budową wielkiego domu i fabryki trzeba jeszcze długo czekać. Rodzina wita nowy wiek spokojnie z długością w Boską Opiekę. Jan mimo bólu, stara się chodzić, wspierając na kulach. Dni wypełnia codzienna praca.

Starsze córki chodzą na pensję dla dziewcząt, Od najmłodszych lat muszą pracować, pomagać mamie w gospodarstwie, uczyć się domowych robótek. Pomagają w obsłudze sklepów. Jan pilnuje, żeby

każda zapoznawała się z pracą w piekarni. Dom staje się coraz bardziej zasobnym, mieszczańskim domem. Przybywa ładnych, drogich mebli i sprzętu domowego. Pełno pracochłonne wykonywanych serwetek i makatek. Dziewczęta musiały uczyć się od najmłodszych lat gospodarstwa domowego i ręcznych robótek.

Z córkami, jak Jan przewidywał, nie wszystko układa się tak, jak sobie marzył. Najstarsza Jadwiga wychodzi za męża. O jej pierwszym mężu niewiele wiemy. Dopiero kilka lat przed śmiercią ciotki Hanki dowiedziałem się od niej, że jej pierwszy mąż nazywał się Brzozowski. Nie zdążyłem się dopytać, kim był i co się z nim stało. Musiał umrzeć wkrótce po ślubie, bo ciotka wyszła ponownie za Marcina Kramarskiego, z którym zawarła ślub kościelny. Marcin był z zawodu rzeźnikiem. Tu zaczyna mi się coś kojarzyć w pamięci. Dziadek-stryjek Wojciech wspominał mi kiedyś, że odbył praktykę rzeźniczą. Znał się bardzo dobrze na produkcji wędlin. Nigdy tylko nie dał się uprosić naszej mamie na zabicie choćby kurczaka. Jestem pewien, że ta praktyka była spowodowana usiłowaniami włączenia wędliniarstwa, które było specjalnością Marcina i młodej pary, do wspólnego, rodzinnego przedsięwzięcia. Jan wciąż marzy o rodzinie trzymającej się razem. Budował dodatkowe mieszkania, dla dzieci z ich przyszłymi rodzinami. Jadwiga, może pod wpływem męża, nie akceptowała tych pomysłów. Zażądała posagu, rezygnując z partycypacji w majątku rodzinnym. Zamierzali razem wyjechać do Ameryki i tam się dorabiać. Posag otrzymała, choć było to poważnym obciążeniem i pierwszym wyłomem w planach ojca. Czy pozostałe córki uda się utrzymać w rodzinnej wspólnoty?

W roku 1903 przychodzi na świat piąta córka Anna. Marzyli o czterech synach i córeczce. Trudno! Wielką nadzieją i oczkiem w głowie Jana jest syn jedynak. Może on podejmie plany ojca lub, chociaż nie pozwoli żeby się zmarnowało to, czego dokonał. Syn ma się uczyć i ukończyć jak najlepsze szkoły. Kazik był zdolnym uczniem. Z dobrym świadectwem rosyjskiej szkoły zdał egzamin do niedawno otwartego niemieckiego, prywatnego gimnazjum handlowego. Czesne było dość wysokie, ale szkoła dawała, poza wykształceniem ogólnym, dobrą znajomość prawa handlowego, księgowości, języka niemieckiego oraz prawo wstępu na wyższe uczelnie europejskie.

Jan dość wcześnie wprowadził syna w swe plany-marzenia. Wcześnie też, jak wszystkie dzieci, pod okiem stryja poznawał zawód piekarza. Kazik nie był „kujonem”. Kochał ojca i nie chciał zrobić mu przykrości, uczył się dobrze. Jednak zamiast tyrania w piekarni, marzyły mu się dalekie podróże, poznawanie świata. Przy tym był wesołym normalnym chłopcem. Wiele wolnego czasu spędzał w pobliskich koszarach rosyjskich huzarów. Konie, to jego „hobby”. Tam też polubili „małego Polaczka”. Pozwalali pomagać przy obsłudze koni i w nagrodę nauczali konnej jazdy.

Kiedyś grałem z chłopakami w piłkę na ulicy Zimnej, która chyba jeszcze do tej pory przypomina wiejską polną drogę. Piłka wpadła nam do ogródka naszej sąsiadki pani Matuszewskiej. Chłopcy bali się wchodzić na teren krewkiej staruszki. Piłka leżała sobie na środku grządki mar-

chewki. Co było robić? Przeskoczyłem przez płot, chwyciłem piłkę, ale rozszczękał się pies pani Matuszewskiej, ona sama wybiega grożąc laską, stara się spuścić psa i krzyczy: Ja ci pokaże, niedawno goniłam tu twego ojca i widzę, że wychował takiego samego „ananasa”. Rzuciłem piłkę chłopakom i udało mi się dobiec płotu na sekundę przed psem.

Jest rok 1913. Jadwiga wyjeżdża do Ameryki. Mąż ma dojechać, po zlikwidowaniu interesów. Nie wiemy w czyich rękach znajduje się posag. Jadwiga jest już na miejscu, znalazła pracę, a mąż wciąż likwiduje krajowe gospodarstwo. Okazało się, że nie zdążył do wybuchu wojny. Po wojnie też mu się nie spieszyło. Rodzinę spotyka wielkie nieszczęście. Na atak serca umiera żona i matka Antonina. Miała dopiero 47 lat. Ten cios dotyka wszystkich. Jest jak grom z jasnego nieba. Starsze córki są już dorosłe, a młodsze dzieci odchowane. Kazik ma 15 lat, a najmłodsza Haneczka 10. Życie ulega całkowitym zmianom. Ojciec był formalną, a mama faktyczną głową rodziny, motorem napędzającym „mechanizm rodziny”. Może serce nie wytrzymało tego obciążenia.

Jan bardzo przeżywa śmierć żony. Czuje, że fundament jego „wielkiej budowli” okupiony tak olbrzymim wspólnym trudem, leży w gruzach. Stracił nie tylko ukochaną żonę, ale współrealizatorkę wszystkich planów. Czy było warto podejmować taki wysiłek?

Haneczka, to dziecko powodowane wyłącznie jakimś wewnętrznym wezwaniem, idzie do katedry. Tam, w kaplicy Matki Boskiej, klęczy zalana łzami i prosi: Mateczko Najświętsza. Matko Boża bądź Ty moją mamą, zastąp mi moją mamusię, która poszła do nieba, do Ciebie.

Stefania, która najlepiej opanowała zawód i prawie jak kwalifikowany piekarz wykonuje wszystkie czynności nie za ciężkie dla dziewczyny, zakochała się w młodym pracowniku, któremu Jan pomógł zdać egzamin mistrzowski. Stach Dutko ma inne plany, chce założyć własną piekarnię na wsi. Drugi posag zmniejsza kapitał zakładowy. Jan już się nie sprzeciwia. Trzeba zlikwidować sklep wielobranżowy u pani Matuszewskiej, który po śmierci matki prowadziły córki. Koniec ambitnych wielkich projektów. Plan minimum, to nie pozwolić, żeby się zmarnowało to, co zbudował.

Czy Jan wybrał właściwą drogę życia? Przez siedemnaście lat pracował tak ciężko, aby zapewnić żonie i dzieciom standard, wyższy od przeciętnego. Mogli przecież poprzestać na spokojnej, dostatniej egzystencji rodziny „pana majstra”, piekarza z przedmieścia. A przecież miał wystarczające środki i warunki, żeby myśleć o własnym, osobistym sukcesie, a jeśli o to nie dbał, to o ułożeniu sobie życia lekko i przyjemnie. Jan był mężem dotrzymującym, słowa danego młodej żonie, odpowiedzialnym ojcem rodziny. Był prawnym człowiekiem. Dla mnie jest godnym szacunku, cichym bohaterem. Dopiero ciężki wypadek i śmierć ukochanej towarzyszką życia zmusiły go do przerwania walki. Opatrzność, dla której przyszłość stoi otworem, zaoszczędziła mu dalszego trudu na „drodze do nikąd”.

## Rozdział VI

### Wichry wojny

Mamy pamiętny rok 1914. Wybuch I wojny światowej. Huzarzy, przyjaciele Kazika, pełni entuzjazmu, szykują się do wyjazdu na front. Są jednostką elitarną. Rwą się do walki. „Razniesiom Giermańcow na naszych szszkach ostrych” – przechwalają się buńczucznie. Entuzjazm młodych ludzi udziela się Kazikowi. Patrzy z zachwytem na to piękne wojsko w pomarańczowo-kremowych mundurach, lśniących srebrem, na wspaniałych koniach.

Jeśli masz 18 lat możesz wstąpić do nas, jako ochotnik, przecież cię znamy, będziesz dobrym kawalerzystą – mówi któryś z huzarów. Mam 18 lat – kłamie Kazik. – Zaraz będę na dworcu. Wpada jak burza do domu, pisze list do ojca i sióstr, przeprosza, że nie może osobiście ich pożegnać. Zapewnia, że wszystkich bardzo kocha. Wróci niedługo. Pakuje do jakiejś torby trochę bielizny i pędzi skrótem, przez podwórka i płoty na dworzec. Ten wyjazd na wojnę nie udał się. List został szybko wykryty. Siostra Władzia zdążyła przybiec na dworzec. Urządziła piekło dowódcy huzarów. Ten natychmiast rozkazał szukać „ochotnika”. Przyprawdzili go pod strażą i pod strażą siostry pomaszrował do domu. Wojciech śmieje się z niedoszedłego „huzara”. Przecież zostałbyś tylko „koniuchem”. Huzarem może być tylko szlachcic. Poradz się kogoś starszego zanim palniesz jakieś głupstwo.

Rosjanie internują mężczyzn, obywateli Niemiec. Dla starszych zakładają obóz, gdzieś na terenie Polski, młodych wywożą w głąb Rosji. Dotknęło to starszych braci Jana i ich dorosłych synów. Po kilku dniach od wypowiedzenia wojny, Niemcy zajmują Włocławek. Rosjanie wycofują się na linię Bzury. Niemcy wyłapują Polaków, urzędników rosyjskich. Natomiast pozostałych starają się zdobyć dla swojej polityki, zmierzającej do utworzenia Królestwa Polskiego w ramach Rzeszy Niemieckiej. Otwierane są polskie szkoły. Udzielają zgody na utworzenie we Włocławku polskiego teatru amatorskiego. Władzia i Felicja zajmują się jego organizacją. Wystawiane są polskie sztuki patriotyczne, które cieszą się wielkim powodzeniem. Aktorami jest przeważnie młodzież ostatnich klas gimnazjalnych. Występują też Fela i Kazik, uczeń gimnazjum handlowego. Robi się coraz gorzej z aprowizacją. Niemcy eksploatują kraj, jak swą kolonię. Jan kupuje konie i wóz. Wojciech, sam lub z jakimś pomocnikiem, penetruje okoliczne wsie i folwarki, w poszukiwaniu, legalnie i nielegalnie kupowanej, żywności. Dziadek-stryjek Wojciech opowiadał mi różne przygody z tego okresu. Kiedyś uciekali przed niemieckim konnym patrolem z całym wozem „szmuglowanej” maki. Dookoła był las, a patrol jeszcze daleko. Udało im się dopaść jeziora na Łubie i ładunek wrzucić do wody. Żytnia mąka bardzo dobrze przechowuje się w wodzie. W workach tworzy się cienka warstwa kleju a pozostała mąka jest sucha. Gdy ich znaleźli, myli spokojnie konie i pusty wóz. Niemcy nie wyobrażali sobie, że nieco dalej w wodzie leży cały transport maki. Trochę kłopotu było z wyciągnięciem zatopionych worków. Niemcy nie żartowali, za „szmuglowanie żywności podlegającej reglamenta-

cji, wieszali ludzi. Innym razem, gdy wracał sam, nocą, potężna nawałnica zaskoczyła go na drodze między Brześciem Kujawskim, a Włocławkiem, koło ruin spalonego niedawno od pioruna młyna, gdzie zginął młynarz z młynarczykiem. Zdążył wjechać wozem pod resztki pozostałego stropu, gdy zaczęła się ulewa. Siedział na pół drzemiąc. W tym słyszy wyraźnie pracę młyna, nawoływanie młynarza, turkot wózka jeżdżącego po nieistniejącym stropie, szum koła młyńskiego. Ocknął się zupełnie. Przypomniał sobie, jak mówiono, że w spalonym młynie straszy. Konie też rzucały się niespokojnie. Przeżegnał się, poprawił uprząż i szybko wyjechał. Na szczęście ulewa już przeszła.

Kazik staje się głównym przedstawicielem firmy, do spraw kontaktów z władzami niemieckimi. We Włocławku handluje, kto może. Przewodzą w tym procederze Żydzi. Kazik nazywany, już „panem Kazimierzem”, zna wielu Niemców i niemiecki. Pośredniczy często w transakcjach, oczywiście nie bezinteresownie. Tymczasem trwa wojna. Polacy walczą w różnych armiach. Krwawe boje toczą Legiony Piłsudskiego. Jedynak Jana nareszcie ma 18 lat. Chce koniecznie wstąpić do Legionów. Ojciec próbuje tłumaczyć, żeby najpierw ukończył naukę w szkołę handlowej. Zostało mu niewiele do matury. Jak wrócę z wojny, odpowiada, to dokończę, a jak nie wrócę, to wszystko jedno, czy zostanę gdzieś z maturą, czy bez niej. Jan ustępuje wreszcie. Cała rodzina martwi się, lecz rozumieją: Legiony walczą o niepodległą Polskę. Ojczyzna woła swych synów do broni.

Znalazłem przed wielu laty zeszyt szkolny ciotki Hanki z 1917 roku. Na pierwszych stronach wypracowanie: „Moje największe przeżycie w czasie wojny”. Czternastoletnia dziewczynka pisze bardzo już ładnym charakterem pisma to, co ja po latach czytałem z wielkim wzruszeniem: „Moim największym przeżyciem był wyjazd mego ukochanego brata na wojnę”. Pisze, jakim był opiekuńczym bratem i wielką nadzieją ojca i stryja, jak bardzo martwili się o niego, a jeszcze więcej o ojca, który chyba by nie przeżył utraty swego jedynaka. Żegnał syna spokojnie: „Niech Bóg cię prowadzi. Bądź ostrożny, uważaj na siebie, ale pamiętaj, że bać się możesz tylko Boga”. Od tej pory, w wieczornej wspólnej modlitwie modlą się: „Szczęśliwy powrót, Kazika daj nam Panie. Matko Boża miej go w swojej opiece”. Wojciech specjalnie zamówił gipsowy odlew dość dużej figury św. Kazimierza królewicza. Prośbą o jego opiekę, została rozszerzona wieczorna modlitwa. Wspólnej modlitwy wieczorne były zwyczajem w naszej rodzinie. Figura świętego, poobijana w czasie wojny, długo była w naszym domu i razem z nim „poniosła śmierć”.

Kazik został przyjęty do I Brygady Legionów, do pułku dowodzonego przez pułkownika Leona Berbeckiego, doskonałego dowódcę, późniejszego generała Wojska Polskiego i głównego inspektora piechoty.

Po odbyciu szkolenia rekruckiego, został przydzielony do konnego zwiadu jednostki. Nadszedł kryzys przysięgowy 1917 roku. Legiony się buntują. Piłsudski internowany w Magdeburgu. Odmawiający złożenia przysięgi żołnierze są rozbrowieni i zamknięci w obozie w Szczypiornie, gdzie przy okazji wymyślają, z nudów, grę w piłkę rączną „szczypior-

niaka". Dowódca pułku Kazika, po apelu wyjaśnia sytuację: Każdy musi kierować się własnym sumieniem. On i grupa oficerów złożą wymaganą przez Niemców przysięgę na wierność Radzie Regencyjnej, która składa się przecie z Polaków. Trudno przewidzieć, jak się dalej potoczą losy wojny. My będziemy jedyną w kraju, polską jednostką z bronią w ręku. "Kto uważa, że nie może złożyć przysięgi - wystap!" Kończy apel pułkownik. Wystąpiło niewielu. Kazik został z większością. Miał dopiero 19 lat. Nie chciał marnować czasu w obozie internowanych. Mówiło się po cichu, że pułkownik Berbecki postąpił zgodnie z rozkazem Komendanta.

Rozpoczęły się forsowne szkolenie Polskich Sił Zbrojnych, nazywanych przez Niemców: „Polnische Wehrmacht”. Polskiemu dowództwu zależy, aby to były oddziały kadrowe. Kazik został awansowany na kaprala. Był „konnym łącznikiem” przy sztabie pułku. Szczytem fantazji i wyszkolenia jeździeckiego, takiego przybywającego z rozkazem, czy z meldunkiem „łącznika”, było wpadać w pełnym galopie, ściągając wodze tak, żeby koń zarył kopytami i usiadł na zadzie. Jednocześnie jeździec błyskawicznie zeskakiwał z konia i stojąc obok niego, wyprężony jak struna, składał meldunek.

Kazik miał wspaniałego konia po jakimś rosyjskim pułkowniku i obaj opanowali tę sztukę do perfekcji, strasząc nieraz tym najazdem oczekujących oficerów. Gdy wybuchła w roku 1918 Niepodległa Polska, jednostka Kazika natychmiast została rzucona na odsiecz Lwowa. Od tej pory ma już tylko wojnę: Walki z bandami ukraińskimi i bolszewickimi na Wołyniu i Podolu. Wyprawa na Kijów. Odwrót w ciężkich bojach aż nad Wieprz i wreszcie ofensywa Piłsudskiego zakończona największą i najkrwawszą bitwą Wojny Obronnej 1920 roku nad Niemnem. Cały ten okres przyszło mu być na pierwszej linii, poza kilkoma dniami w szpitalu polowym, gdzie opatrywano, na szczęście niegroźnie przestreloną, nogę. Na draśnięcie kulą lewego boku na wysokości serca, wystarczył tylko mocny opatrunek. Nazywali go „dzieckiem szczęścia”, bo udało mu się uciec z bolszewickiej niewoli. Nawet granat, który upadł w okopie pod nogi, zdążył odrzucić „do nadawcy”. Był odważnym, ale i rozważnym żołnierzem. Po latach upominał mnie, że każde ryzyko trzeba podejmować na zimno, analizując błyskawicznie sytuację. Mówił, że on pamiętał słowa swego ojca przy pożegnaniu: „Bądź ostrożny, a bać się możesz tylko Boga”.

Pytałem kiedyś ojca, czy w trudnych chwilach na froncie, czuł, że cała rodzina modli się za niego i czy mu to pomagało. Ależ oczywiście - odpowiedział. Zawsze czułem, że myśli moich bliskich i Opieka Boska są przy mnie. Opowiedział mi taką historię, której inaczej nie mógł sobie wytłumaczyć, jak tylko opieką Siły Wyższej.

Po nocy i całym dniu spędzonym w okopach na odpieraniu nieustannych, wściekłych ataków bolszewików, późnym wieczorem zostali zluzowani. Poprowadził swój pluton do niedalekich zabudowań, na pół zrujnowanej wioski. Wybrali jakąś, możliwie wyglądającą chałupę. Gospodarze oddali im dwie izby i kuchnię, sami przenosząc się do jakiejś komórki. Wszyscy pokładli się pokotem, gdzie tylko było można. Spał jak zwykle, jak zając pod miedzą. Raptem, słyszy wyraźnie wołanie: Alarm! Poderwał się i powtarza: Alarm! Alarm! Wychodzić!

Wybiega na podwórze. Za nim już pędzą pobudzeni żołnierze. W dwuszeręgu zbiórka! Wydaje komendę, jeszcze jak gdyby przez sen i trzeźwieje. Kto wołał pierwszy: „alarm”, pyta. Cisza. Ja słyszałem tylko pana sierżanta i też powtarzałem. Odpowiada pierwszy z brzegu. - Wyglupiłem się myśli ojciec. Dopiero się rozwidnia. Można by jeszcze pospać. W tej samej chwili, pocisk artyleryjski walnął w sam środek chałupy. Podmuch wywraca wszystkich. Przysypuje ich gruz. Są ogłuszeni, ale cali. Tylko z gospodarzy nikt nie przeżył. Zaczął się gwałtowny ostrzał artyleryjski ruin wioski. Pierwszy zawołał mój Anioł Stróż. Kończy swe opowiadanie ojciec.

Ostatnim bojowym, przydziałem Kazika była ochrona polskiej delegacji na pertraktacjach pokojowych w Rydze. Awansowany na sierżanta sztabowego i przeniesiony na pokojowy etat instruktora w szkole podoficerów piechoty. Nie skorzystał z możliwości ukończenia przyśpieszonego kursu w szkole oficerskiej i złożył podanie o przeniesienie do rezerwy. Miał 23 lata. Pełen chwały bojowej, z Krzyżem Walecznych na piersi, które wtedy nie rozdawano zbyt hojnie, wrócił do Włocławka. Pamiętał o planach i marzeniach ojca i o tym, że to on właśnie, jest jego ostatnią nadzieją. Słodki jest smak wywalczonej i obronionej przed najazdem barbarzyńców niepodległości.

Mówi się, że teraz nastąpią długie lata pokoju. Mamy po latach niewoli własne państwo. Wracają rozproszeni po świecie tułacze. Jedni oplakują poległych i pomordowanych, zbierają ich szczątki, żeby uczcić uroczystym pogrzebem, inni wciąż czekają na powrót bliskich, łudząc się nadzieją. Jeszcze inni bawią się i cieszą, że przeżyli. Kościoły przepelnione. Nabożeństwa dziękczynne na przemian z żałobnymi za dusze poległych i zabitych. Narastające problemy gospodarcze spędzają wielu sen z oczu. Kraj trzeba odbudować, zorganizować jednolitą administrację po trzech różnych systemach, podnieść z gruzów, a w większości zbudować od nowa przemysł, własny port morski w Gdyni, warunek rozwoju eksportu. Trzeba odbudować i usprawnić transport kolejowy.

Wieś, szczególnie strona wschodnia, zniszczona i zacošana. Niepodległa Polska, to kraj wielu mniejszości narodowych. Niedawna „kolonia” wyzyskiwana przez trzech zaborców, musi stać się jednolitym, nowoczesnym państwem. A społeczeństwo? Wiele skrajnej nieraz biedy. Znaczny odsetek analfabetów, podpisujących się trzema krzyżykami. Kłopoty z mniejszościami: ukraińską, niemiecką czy litewską. Czesi, wykorzystując ciężką sytuację Polski, zajęli Zaolzie. Litwini żądają uznania Wilna jako stolicy niepodległej Litwy. A wreszcie jad komunistyczny, sącący się wielu kanałami i zatruwający umysły, szczególnie biednych warstw ludności. Jak by tego było mało, to jeszcze, typowe, polskie kłótnie partii politycznych, wprowadzające zamęt i utrudniające odbudowę kraju. Jedynym „szczęściem w nieszczęściu” jest światła polityka gospodarcza i personalna nowych władz. Przy obsadzaniu kluczowych stanowisk liczy się przede wszystkim wiedza i fachowość. Nie jest ważnym czy studia są ruskie czy pruskie.

Gdynia musi być i staje się portem najnowocześniejszym na Bałtyku. System uzyskiwania azotu, podstawy produkcji nawozów dla rolnictwa, patent prof. Ignacego Mościckiego w nowo budowanych

zakładach pod Tarnowem, jest unikalnym i najtańszym na świecie. Od chwili startu jesteśmy w czołówce światowej postępu naukowo-technicznego. Wszystkie planowane wielkie inwestycje cechuje rozmach z precyzją i trwałością realizacji. Rozumna polityka podatkowo-finansowa uruchamia lawinowy rozwój prywatnej inicjatywy, drobnej wytwórczości i handlu. Rokowania są dobre. Pięćdziesiąt lat wytężonej pracy i będziemy przodującym krajem Europy.

Rodzina przeżyła wojnę szczęśliwie. Władzia i Fela należały do kobiecej sekcji, tajnej za czasów niemieckich, Polskiej Organizacji Wojskowej. W czasie inwazji, gdy bolszewicy zajęli prawy brzeg Wisły i Włocławkowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, nie zważając na ostrzał z za Wisły, pracowały w różnych komitetach pomocy dla frontu. Siedemnastoletnia Hania, harcerka i sanitariuszka, miała stałe dyżury w szpitalu polowym i na dworcu. Jan w 1919 roku załatwił potwierdzenie wykształcenia i uzyskał dyplom mistrza piekarnictwa. Piekarnia ma małą wydajność. Pracuje w niej Wojciech. Trzeba zwolnić dotychczasowego majstra. Jan sam odpowiada za jakość produkcji. Odmawia przyjęcia jakichś funkcji w Zarządzie Cechu. Nasilające się bóle kręgosłupa i trudności w chodzeniu coraz bardziej dokuczają. Zdaje sobie sprawę, że kończy się jego aktywna działalność. Przyjmuje z pokorą wyroki Boskie. Wiele czasu spędza na modlitwie. Dziękuje Bogu, że rodzina wyszła cało z zawieruchy wojennej, że syn wraca zdrowy i cały. Fizyczną ulgę sprawia mu, gdy siedzi, grzejąc obolałe plecy przy piecu piekarni, tylko myśli natrętne nie opuszczają tak łatwo. A co go martwi? Córki, Władzia i Felcia przekroczyły trzydziestkę. Obydwie poświęciły się dla rodziny. Władzia, po śmierci matki, przejęła na swoje barki gospodarstwo domowe obsługując sklep piekarniczy i wychowanie najmłodszej Haneczki. Felcia prowadzi wszystkie sprawy handlowe, księgowość piekarni i całą administrację nieruchomości. Jest bardzo muzykalna, ładnie śpiewa. Wygospodarowała jakieś pieniądze i kupiła fortepian, przyda się dla Haneczki, dorastającej już panny. Obydwie córki, takie dobre i pracowite, miały starających się o ich rękę, ale żaden konkurent nie był tym wymarzoną. Już nie założą własnych rodzin. Kazik i Haneczka muszą zdobyć wyższe wykształcenie. Wojciech też się nie ożenił. Wrósł w rodzinę jak syn rodzony. Wszyscy go kochają i on żyje tylko dla nich. Zmartwienia Jana są jego zmartwieniami. Pracuje ciężko fizycznie w piekarni, tak, że trzeba mu robotę wrywać.

Wolne chwile spędza na modlitwie i nad książkami. Jest filantropem, wspiera organizacje dobroczynne. Ulubioną rozrywką, w wolnych chwilach, są wędrówki po okolicznych lasach i studiowanie przyrody. Trudno go sobie wyobrazić samego, bez opieki bliskich. Stał się jakoś obojętnym na własny los i sytuację.

O dziadku-stryjku opowiadano mi taką historię: Z jego pokoiku na piętrze schodziło się bezpośrednio do piekarni, do magazynu z mąką i innymi zapasami. Kiedyś w niedzielę, gdy wszyscy poszli do kościoła, usiadł sobie tam z książką przy oknie. Naraz słyszy, że ktoś dobiera się do zamka drzwi zewnętrznych. Po chwili zamek ustępuje. Wchodzi ostrożnie znany z widzenia złodziej. Nie zauważył,

że z za regału jest obserwowany. Przegląda worki z mąką. Wybiera jeden z luksusową mąką pszeną. Otwiera drzwi na dwór, gdzie ma przygotowany wózek i siłuje się ze sto kilowym workiem, żeby go postawić wyżej i wziąć na plecy. Nagle słyszy głos: Poczekaj, poczekaj ja ci pomogę! Złodziej, jak rażony piorunem upuszcza worek i ucieka. Potyka się jeszcze o próg, wpada na swój wózek, ale go zostawia i znika za bramą. Zabierz wózek, przyjdź jutro, dam ci mąki, woła za nim dziadek już na ulicy, ku zdziwieniu przechodniów, którzy nie wiedzą, o co chodzi. Dziadek ciągnie wózek i zostawia go w podwórku złodzieja.

Jan jeszcze się nie poddaje. Oczekuje na przyjazd syna i liczy, że on weźmie sprawy w swoje młode ręce. Tymczasem się „nie przelewa”, trzeba żyć skromnie. Pieczywo jest rozchwytywane, ale piekarnia mało wydajna. Piec zbyt mały, wszystkie czynności trzeba wykonywać ręcznie, potrzebny kapitalny remont piekarni i domu. Lokatorzy też w kłopotach, komornego tyle, „co kot napłakał”. Wydatków coraz więcej, a kasa stale pusta. Trzeba ubrać i nakarmić pięć osób, a tu jeszcze podatki i różne, wciąż nowe opłaty, bo Miasto i Państwo na dorobku. Felcia musi się dobrze nakombinować, żeby związać koniec z końcem.

## Rozdział VII

### Ster w młodych rękach

Po zawarciu, w marcu 1921 roku, traktatu pokojowego z Rosją Radziecką wszyscy wierzą, że to nareszcie okres długotrwałego pokoju. Kazik postanawia wcielić w życie hasła wracających z wojny młodych: „Przekujmy bagnety na lemiesz! Chwyćmy ster w nasze ręce!”. We Włocławku odradza się, zahamowany przez wojnę, rozwój przemysłu i handlu. Młodzież garnie się do nauki. Młodemu Państwu zależy na dobrym wykształceniu i patriotycznym wychowaniu młodego pokolenia. Na wzór brytyjskiego „skautingu” organizuje się Związek Harcerstwa Polskiego. W nim, są przekazywane, szczytne ideały. Miłość Boga i Ojczyzny jest fundamentem wpajanych cnót obywatelskich, pomoc bliźniemu w potrzebie, obowiązkiem. Wycieczki turystyczne, obozy kondycyjne i imprezy patriotyczne służą integracji i wychowaniu młodych. Hanka poświęca się całą duszą tej pracy. Jest drużynową w swym gimnazjum.

Na Miłą 17, mimo kłopotów dnia codziennego, wraca pogodny nastrój i wesołość. W domu pojawia się dużo młodzieży. Kazik sprowadza kolegów z wojska, Hanka koleżanki. Największy pokój od ulicy trzeba przemeblować. Musi być miejsce do tańca. Zjawia się „patefon”. Częste są „prywatki” połączone ze śpiewaniem piosenek harcerskich, wojskowych i aktualnie modnych szlagierów. Fela chętnie akompaniuje na fortepianie i gra do tańca. Tworzą się pary: Hanka, bardzo urodziwa dziewczyna, ma adoratora, zakochanego w niej porucznika, instruktora w ZHP. Nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Odwiedzał nas jeszcze później we Włocławku. Zginął jako kapitan, dowódca strażnicy na wschodnich rubieżach, w walce z jakąś bandą przemytników. W Kazika jest wpatrzona, jak w obraz, przyjaciółka Hanka Wera. Są uczennicami tego



samego gimnazjum. Weronika Stachurska jest córką dziedzica z Ostrowitka, folwarku pod Lipnem.

Wesoło i obiecująco mija karnawał lat 1921/22. Kazik ma na razie poważniejsze problemy: Musi zdobyć „kasę”. Jan, zaraz po powrocie syna, organizuje naradę rodzinną. Fela przedstawiła sytuację finansową. Jest kiepska. Saldo stale w kolorze czerwonym.

Po drugiej stronie ulicy, młody piekarz Zygmunt Bahr, wybudował nową piekarnię. Uzyskuje większą wydajność, trudno z nim konkurować. Lokatorzy nie płacą, domagają się remontu. Jan ma koncepcję. Przedstawia ją z wyraźnym wzruszeniem. Ma „niespodziankę”: W tajemnicy zlecony i właśnie zakończony przez budowniczego projekt obejmuje likwidację piekarni, przeniesienie sklepu na lewą stronę, w miejsce obecnego saloniku i przebudowę części piekarniczej na dwa mieszkania. Jan referuje swój pomysł:

Sklep będzie wielobranżowy, tak jak kiedyś, ten, prowadzony przez mamę. Będą go prowadziły Władzia i Fela. Wojciech ma zapewnioną pracę u sąsiada, pana Bahra. Nowe mieszkania się wynajmie, będzie dodatkowy dochód na studia Kazika i Hanki. A środki na przebudowę? – Sprzedamy połowę działki od ulicy Zimnej. Kazik i Hanka muszą skończyć wyższe studia, wtedy zobaczymy co dalej, kończy Jan. Stara się zachować pogodny nastrój. Wszyscy rozumieją ile musi go kosztować burzenie własnymi rękami tego, na co tyle lat pracował. Wojciechowi przypomina się nagle jakaś sprawa do załatwienia, mówi, że zgadza się na wszystko i szybko wychodzi. Widać, chce uniknąć okazania wzruszenia.

Mam przed sobą ten plan przebudowy, zniszczony, poplamiony. Wykreślony i opisany starannie na grubym kartonie. Widnieje na nim podpis właściciela nieruchomości dziadka Jana. Ten projekt znalazłem wśród papierów, wyrzuconych ze skradzionego biurka na Miłej. Jaki był dalszy przebieg narady? Pełną napięcia sytuację, rozładowuje Kazik. Obejmuje ramieniem ojca i całując go w policzek, mówi wesoło: Tato, projekt bardzo dobry, zachowajmy go jako wyjście awaryjne. Na razie sytuacja jest taka, że nie opłaci się sprzedawać trwałych dóbr, bo pieniądź traci na wartości i może się zdarzyć, że za sprzedaną działkę kupimy tylko paczkę papierosów. A sklepik „mydło i powidło” może nie utrzymać trzech osób, to już nie te czasy. Nie na próżno spędziłem wiele wolnego czasu w Rydze na rozmowach z fachowcami o gospodarce. „Rusza pociąg, kto nie wskoczy i nie zabierze się, to na piechotę już go nie dogoni”. Ja wskakuję do tego pociągu. Szczegóły muszę jeszcze omówić z tatusiem.

W wojsku, w okresie pokoju, marnuje się wiele czasu. Ja te kilka miesięcy wykorzystałem na dokładne przemyślenie mojego projektu. Musi się udać! Następuje szereg dalszych narad, jak załatwić dotychczasowe „dziury” w budżecie rodziny. Postanawiają wprowadzić pracę na dwie zmiany, zwiększając produkcję pieczywa pszennego. Tu jest możliwość konkurencji z sąsiadem.

Jan wita z radością i akceptuje pomysły syna. Przypomina mu się jego młodość. Widzi ten sam entuzjazm i pewność siebie. Nareszcie on zajmuje, akurat wolne, mieszkanie w oficynie za piekarnią, przeznaczane przecież dla rodziny. Urządza tam swoją kawalerkę i biuro własnej firmy. Rejestruje ją

pod szumną nazwą: „DOM HANDLOWY K. GALCZAK Skup i sprzedaż płodów rolnych” Nowa firma występuje o największy, możliwy do uzyskania kredyt, na który Jan, bez słowa sprzeciwu, udziela gwarancję całym swoim majątkiem. Ma chłopak rozmach, myśli. Trzeba było nazwać firmę: „Kącik Handlowy” śmieje się Wojciech.

Hanka ukończyła gimnazjum, mimo gorących sprzeciwów rodziny, która chciała, żeby podjęła normalne wyższe studia, wybrała Roczny Kurs Wychowania Fizycznego w Warszawie. Kurs dawał uprawnienia nauczycielki W.F. w szkołach. Chciała za przykładem brata, być samodzielną, zarabiać własne pieniądze. Przy tym praca z młodzieżą, to był jej żywioł. Mam tu też pewne podejrzenie. Odprawiła definitywnie, starającego się o jej względy, oficera. Czasem długo nie zauważa się tego, co jest bardzo blisko.

Zenek, wnuczek sąsiadów Janowskich, urodził się i mieszka w sąsiednim domu. Znają się od dziecka. Jest to wyjątkowy chłopak. Pilny uczeń, niesłuchanie grzeczny i posłuszny rodzicom. Obecnie już po maturze, z mocnym postanowieniem dalszego studiowania. Przy tym wysoki, przystojny.. Gdy okazało się, że i on wzdycha do sąsiadki, Hanka podjęła decyzję. Ten będzie „opoką” na całe życie. Ojciec Zenka, pan Michalski, maszynista pociągów pośpiesznych, to elita wśród kolejarzy. Zarabia bardzo dobrze, ale „buduje się” niedaleko, na ulicy Pustej. W domu są jeszcze dwie młodsze córki, które chodzą do gimnazjum i też chcą studiować. Na to i z dobrej pensji nie łatwo nastarczyć. Zenek wybrał „handel zagraniczny” na uniwersytecie we Lwowie. Planuje kilka lat studiów, marzy o dalszych studiach za granicą. Postanowili wcześniej się pobrać. Hanka nie może być ciężarem, a raczej wspierać finansowo męża-studenta. Musi zarabiać!

Pewną rolę grały obawy starszych siostr. Co się stanie, jeśli „szalone”, jak je po cichu nazywały, interesy Kazika, które gwarantuje całym majątkiem rodziny, wpatrzony w niego ojciec, nie powiodą się? Wszyscy „pójdziemy z torbami”? Hanka myśli realnie, obydwójce z Zenkiem chodzą twardo po ziemi. Wydaje się, że charakter odziedziczyła po matce. Kazik dostaje jeszcze odprawę i zapomogę bezzwrotną dla zasłużonych weteranów, na rozwój własnej działalności gospodarczej od Wojska. Odstępuje przysługujące mu, jako obrońcy Kresów Wschodnich, prawo do gospodarstwa rolnego na Wołyniu (OPATRZNOŚĆ czuwa!). W sumie zbiera kapitalik, z którym można rozpocząć „rozkręcać” firmę. Dbą bardzo o wygląd i prezentację. „Jak cię widzą, tak cię piszą” Zamawia sobie kilka modnych garniturów u najlepszych krawców wrocławskich, każdy na inną okazję. Wynajmuje dwukonny pojazd, tak zwany „kocz”, z wygodnym, obitym skórą siedzeniem z przodu, przykrywanym, w razie deszczu, podnoszoną budą i dodatkowym z tyłu, trochę twardym siedzeniem, dla stangreta. Piękne konie, lśniącą uprzęż. Wszystko bez zarzutu. Zatrudnia też pierwszego pracownika, sprytnego chłopaka znanego mu z wojska. Mianował go woźnym, stangretem, a w razie potrzeby, asystentem szefa. Janek też dostał kilka firmowych, odpowiedzialnych do „roli” ubiorów.

Po tych wstępnych przygotowaniach, młody handlowiec wyposażony w odpowiednie dokumenty, wizytówki i formularze firmowe, rozpoczyna działalność. W Dowództwie Garnizonu, gdzie spotyka kolegów, składa ofertę na dostawy dla Wojska. Następnie, „samowtór”, ze zdobycznym rewolwerem pod pachą, bo drogi jeszcze nie pewne, kręcą się bandy dezertów i różnych rabusiów, rusza w teren, na podbój rynku płodów rolnych. Była to druga połowa lipca 1922 roku, w czasie której objechali prawie wszystkie folwarki i młyny na prawym brzegu Wisły od Płocka do Torunia i w powrotnej drodze, lewym brzegiem, od Torunia do Włocławka. Czas naglił, bo żniwa zapełniały spichrze i stodoły, czekając na kupców. Teczka Kazika napęczniała od złożonych i przyjętych ofert, a dość gruby notes zawierał informacje o sytuacji i potrzebach poszczególnych folwarków. Pomagał mu ochoczo przystojny stangret-asystent, przeprowadzając „wywiad gospodarczy”, wśród żeńskiej części służby dworskiej.

Kazik nawiązał wiele kontaktów handlowych i towarzyskich. Otrzymał zaproszenia ponownych wizyt, nie koniecznie w interesach. We dworach koncentrowało się i pulsowało życie towarzyskie Polski gminno-powiatowej. Hucznie obchodzono uroczystości rodzinne. Organizowano imprezy kulturalne, bale, polowania. Młody wesoły i elegancki handlowiec, był mile widzianym gościem. Należy wspomnieć o „popasie” w Ostrowitku u Stachurskich, gdzie przyjmowała go uradowana wizytą 19 letnia Wera. Była najmłodszym, trochę rozpieszczonym dzieckiem, wśród starszego rodzeństwa. Jako maluch domagając się czegoś wołała: da! da! da! Stąd do domu nazywano ją „A-da” po tym i wśród przyjaciół została „Ada”.

Kazik zaprzyjaźnił się od pierwszego spotkania z jej braćmi: Antonim i Stanisławem. Opowiadaniom o wojennych przygodach nie było końca. Kazik poczuł się wśród nich od razu jak we własnej rodzinie. Męczyło go tylko ciągłe okazywanie, więcej niż sympatii, przez Werę. Była ładną dziewczyną, ale nie bardzo w jego typie.

Wyprawa przyniosła nadspodziewanie dobre rezultaty. Można było przystąpić do realizacji drugiego etapu, Polegał on na zdobyciu wspólników z gotówką, potrzebnych do rozkręcenia dużego interesu. Handlem zbożem, na większą skalę, zajmowało się we Włocławku kilka rodzin żydowskich. Byli to Czarnobrodowie, Kantorowicze i inni, których nazwiska wyleciały mi z pamięci, z potężną, powiazaną z międzynarodową finansjerą, rodziną Sternów na czele. Do nich należały młyny i spichrze, oni dysponowali niemałym kapitałem.

Jan, w międzyczasie, wystosował uprzejme listy do kilku Żydów z tego środowiska, znajomych z okresu, gdy znaczne partie kujawskiej mąki sprowadzał dla piekarni w Będzinie. Rekomendował syna, który po szczęśliwym powrocie z wojny, chciałby zająć się handlem zbożem i mąką. Powołując się na wieloletnią znajomość i dobre wspólne dawne interesy, prosi o przychylność. Jednocześnie, w imieniu syna, zaprasza na spotkanie, w Hotelu Polskim. Syn, po objęździe okolicznych folwarków, chciałby podzielić się, może interesującymi ich, informacjami.

Zaproszenie zostało z podziękowaniem przyjęte. W oznaczonym terminie, w zamkniętym dla innych gości gabinecie hotelu, zjawili się kilku poważnych

Żydów, znanych już wcześniej Kazikowi przez kontakty ojca. Dwóch, czy trzech przyszło z synami, rówieśnikami gospodarza. Po krótkiej wymianie uprzejmości, Kazik przystąpił do sedna spotkania, Przedstawił swą firmę i zamierzenia, którymi na razie są dostawy dla wojska, z myślą o włączeniu się do hurtowego handlu zbożem i mąką, na zasadach zdrowej, uczciwej konkurencji. Liczy na przychylność innych szacowanych kupców, pracujących od lat w tej branży, na których szacunek również chciałby zasłużyć. - Nie przychodzę z pustymi rękami – mówi. Udało mi się pozawierać interesujące mnie transakcje, ale tu – wskazuje na gruby notes – mam informacje o dalszych możliwościach, na wiele tysięcy „twardej” waluty, do sfinalizowania których potrzebuje zaufanych wspólników. Jestem gotów do szczeblowych rozmów z zainteresowanymi. - Na razie, dziękuje jeszcze raz za przybycie i zaprasza na skromny poczęstunek. Żydzi przyjęli z powagą i spokojem poważnych kupców to wystąpienie. Nie odmówili przynieszonego przez kelnerów „koszernego” poczęstunku i kieliszczyzna mocnej wódki za pomyślność nowej firmy.

Wywiązała się dyskusja o smutnych efektach różnych „szybkich” interesów. Chodziło o delikatne przeegzaminowanie gospodarza ze znajomości prawa handlowego, bankowego czy wekslowego. Kazik był dobrze przygotowany i doskonale wychwytywał błędy, prawne i formalne, w cytowanych przykładach.

Spotkanie przebiegło w miłej, obiecującej dalsze kontakty, atmosferze. Goście byli wyraźnie ujęci tak uprzejmym potraktowaniem przez młodego Polaka. Przeważnie nie byli tak przyjmowani. Szczególnie przez obywateli ziemskich, z którymi „wolens - nolens” prowadzili interesy.

Tu muszę opowiedzieć przygodę, jaka się przytrafiła znajomemu Żydowi, człowiekowi zamożnemu, dostawcy maszyn rolniczych i wyrobów przemysłowych. Z jego pośrednictwa mój ojciec czasem korzystał. Mieszkaliśmy wtedy w Gosławicach koło Aleksandrowa.

Pan Stupaj, tak się nazywał ów Żyd, zajeżdża któregoś dnia swą jednokonną bryczką na nasze dworskie podwórze, gdzie akurat się bawiłem. Zobaczył mnie, podjechał bliżej. Jest jakiś zmieniony. Nie wychodząc z bryczki, zwraca się do mnie: - Dzień dobry, poproś prędko tatusia, żeby do mnie wyszedł. - Tatusia niema, wyjechał - odpowiadam. - Jest wujek Antek. - To poproś wujka. Pędzę po wujka. Wracamy. Pan Stupaj wyjaśnia coś szeptem wujkowi bardzo zdenerwowany. - Niech się pan nie martwi, zaraz wszystko załatwimy. Widzę, że wujek stara się zachować powagę, ale rozpiera go wesołość. - Leć do kuchni, niech przygotują kociołek gorącej wody. Przekazuję polecenie. Pod naszą wielką kuchnią przeważnie cały dzień był ogień i grzał się kocioł wody. Wyjaśniam, pokrótce zdziwionej mamie, co widziałem i słyszałem. Po chwili przychodzi wujek. - Pan Stupaj miał wypadek, musi się wykapać i zmienić bieliznę i spodnie. Już kazałem zanieść do stodoły balie i dwa kubły wody. Wybierają z bieliźniarki ręczniki, bieliznę. Wujek zabiera jakieś spodnie. Jeszcze kubek gorącej już wody miednica, mydło, woda kolońska i niesiemy wszystko do stodoły. Zostawiamy tam pana Stupaję, który czekał jak „kupka nieszczęścia”. Nos wyjaśnił mi, co się stało.

Był z natury wesołym, pogodnym człowiekiem w średnim wieku. Nie robił z tego wielkiej tragedii. Wymyty i odświeżony, opowiadał o swej przygodzie. Przyjechał w umówionym terminie po odbiór należności do sąsiedniego folwarku. Dziedzic chory, leży na leżaku na werandzie. Tłumaczy, że z powodu choroby nie mógł jechać do banku po pieniądze. Każe lokajowi przynieść wino. Prawie wymusza, żeby pan Stupaj wypił za jego zdrowie. Po chwili ogląda butelkę. Zrywa się, łapie się za głowę i woła: coś ty darniu przyniósł? Przecież to ta butelka, do której nasypałem trucizny na szczury. Zaprzęgaście! Niech Franek jedzie po lekarza! Przerażonego ratują sami. Każą pić litry maślanki, zsiadłego mleka, a jakby tego było mało, to radzą żeby biegał dookoło klombu, to reakcja będzie lepsza. I była. Pan Stupaj zorientował się, że to wszystko „blef”, uciekł do swojej bryczki przyjechał do nas. Czuł się bardzo źle. Mama ratowała biedaka, ale nie przed zatruciem. Nam wpajano zawsze obowiązek poszanowania każdego człowieka, niezależnie od jego narodowości, pochodzenia i stanu.

Jaki był wynik spotkania Kazika z Żydami, oraz późniejszych negocjacji i umów? Pod koniec 1922 roku jest właścicielem i współwłaścicielem znacznych zapasów zboża i ma zakontraktowane dalsze dostawy ze zbiorów w roku następnym. Na razie nic nie sprzedaje czeka na lepsze ceny. Składowanie kosztuje. Co będzie, jeśli nie znajdzie nabywców? Martwi się Jan. Żydzi kręcą głowami. Ledwo zaczął i ryzykuje takie pieniądze? Dostawy dla wojska, uruchomione już na wiosnę, przynoszą stały dochód. Kazik wyszukuje dobre jakościowo produkty, dostawia po konkurencyjnych cenach i ma dobry pomysł. Warzywa i owoce dostarcza, w specjalnych drewnianych „klatkach”, o ustalonej wadze. Było to bardzo wygodne dla odbiorców. Klatki początkowo zamawiał u znajomych stolarzy, dopóki na wolnej części działki od strony ulicy Żimnej, nie wybudował własnej stolarni. Drugą inwestycją, rozpoczętą tam od razu, była budowa murowanego magazynu. Już po wybudowaniu wysokich piwnic pod całym budynkiem i wytrzymałego duże obciążenia stropu, w ocieplonych na zimę pomieszczeniach piwnicznych, uruchomił wytwórnię kiszzonej kapusty i kiszonych ogórków dla wojska. Stolarnia otrzymała korzystne zamówienie na dostawę większych partii drewnianego umeblowania koszar. Pracuje „na pełnych obrotach” i jeszcze zarabiają podwykonawcy, stolarze z Kokoszki. Firma „K. GALCZAK” zatrudnia już kilkanaście osób na stałe i wiele osób dorywczo.

Jan z dumą, ale i z pewną obawą obserwował poczynania swego ulubieńca. Czy nie za wiele ryzykuje? Spłata raty kredytu nie była zagrożona, ale jak będzie dalej? Na razie poprawiła się sytuacja finansowa rodziny. Regularnie wpływa dzierżawa za połowę działki oraz komorne za mieszkanie Kazika i biuro firmy. Jan, mimo oporu syna, również regularnie zwraca mu jego 20%, jako współwłaściciela nieruchomości. Tak duże pieniądze ulokował w zbożu. Może łatwo na tym „się poślizgnąć”.

W takiej, pełnej niepewności sytuacji, co jak gdyby lekceważy męska część rodziny, nadchodzi rok 1923. I wybuch „bomba”! Pewnego styczniowego dnia Kazik wpada jak szalony. Obcałowuje siostry, ściska ojca i stryja i woła: Wygrałem! Wygrałem!

Niemcy dostali zezwolenie na skup zboża w Polsce. Płacą twardą walutą. Ceny zboża rosną jak szalone. Natychmiast nawiązuje niezbędne kontakty, prowadzi negocjacje w imieniu swoim i całej grupy średnich i drobnych plantatorów, a stale zgłaszają się nowi prosząc o pośrednictwo firmy. Zboże Kazika zamienia się w poważną sumę dolarów. Tak, niespodziewanym uśmiechem fortuny, rozpoczął się nowy rok. Kazik spłacił cały kredyt i wszystkie zobowiązania, dokończył budowę magazynu i została mu jeszcze ładna sumka na koncie. Pomyślał też o dokończeniu nauki i zdobyciu potwierdzenia kwalifikacji. W gimnazjum handlowym po kursie uzupełniającym dla zaawansowanych weteranów, otrzymał świadectwo ukończenia i uprawnienia księgowego, czy jak wtedy nazywano: „buchaltera”.

Janowi spadł kamień z serca. Udało się, ale co będzie dalej? Czy to powodzenie nie zaszumi w młodej głowie? Czy potrafi racjonalnie wykorzystać zdobyte, właściwie korzystnym zbiegiem okoliczności pieniądze? Nie bardzo mu się podoba towarzystwo młodych oficerów, w którym Kazik zbyt często przebywa. Współzawodniczą z nimi niektórzy okoliczni ziemianie i „złota młodzież” włocławska. A jak się takie zabawy kończą? Ostatnio, któryś strzelał do swego odbicia w lustrach Hotelu Polskiego, bo mu się nie podobało jego pijackie odbicie. Przez miasto gnają nieraz kawalkady wesołych jeźdźców, gdzie i Kazika podobno można zobaczyć. W koszarach na ulicy Długiej trzyma dwa konie wierzchowe. Chodzą również dobrze w zaprzęgu. To nie jest nic nadzwyczajnego, bo konie wierzchowe, to normalny środek podróżowania. Kazik twierdzi, że na koniu czuje się bezpieczniej, w swoich podróżach handlowych po okolicznych bezdrożach, niż w bryczce.

Miał niedawno przygodę, która mogła się bardzo źle skończyć. Wracał pod wieczór swą dwukonną bryką. Z Wieńca, z biura administratora dóbr barona Kronenberga, zabrał jakiegoś znajomego. Po kilku kilometrach, nagle na drogę wyskakuje grupa podejrzanych typów, a z boku ciągną jeszcze jakieś bale. Chcą zablokować drogę. Pasażer krzyknął przerażony: zawracajmy! Dobrze radzić. Droga gruntowa, niezbyt szeroka, z jednej strony piaszczyste zbocze, z drugiej gęste krzaki, las wokół, a do bandziorów nie więcej jak dwadzieścia metrów. Pasażer zeskokczył i krzycząc „niech pan ucieka, im wystarczy bryczka i konie”, pognął w las. Kazik stanął pewnie, ściągnął lejce i uderzył nimi mocno po grzbietach końskich. Zebrał lejce w lewym ręku i jeszcze śmignął batem. Zamiast zwykłego „wiooo!”, kawaleryjskie konie usłyszały dawne „huraa!”. Nie zapomniały. Skoczyły z podniesionymi łbami, przechodząc natychmiast w galop, prosto na blokujących drogę. Kazik wyrwa z kabury pod pachą i odbezpiecza swój niemiecki, oficerski rewolwer. Chce oddać pierwszy strzał ostrzegawczy i nic. Rewolwer zacięty. Chwycił go całą garścią za lufę. Są już między rabusiami, którzy odskoczyli na boki, ratując się przed stratowaniem. Jednemu udało się chwycić prawego konia za uzdę i odpada, uchylając się przed końskimi zębami. Drugi skoczył na stopień bryczki i trzymając się jedną ręką poręczy siedzenia, zamierza się długim wojskowym bagnetem. Dostaje cios

ciężkim rewolwerem w głowę, aż kość chrupnęła i leci na wznak na drogę. Bryka ginie z oczu zaskoczonych bandy w tumanie kurzu. Tak skończyła się przygoda. Na szczęście rabusie nie mieli broni palnej. Policja znalazła tylko w jednej z chałup ranego. Nie odzyskał już przytomności.

Jan miał powody martwić się o syna. Swoimi obawami dzieli się z Wojciechem. Biorą pewnego dnia, młodego „na spytki”. Kazik rozwiewa ich obawy. Zdaje sobie sprawę, że fortuna „kołem się toczy” i rzadko się uśmiecha. Chodzi po ziemi, kalkuluje wszystko na zimno. Przedstawia ojcu i stryjowi swe plany, które sięgają daleko: - Pamięta tatuś te projekty, o których słyszałem w dzieciństwie: „Zbudujemy wielki dom a obok fabrykę. Nasza Kokoszka zmieni się w nowoczesne osiedle miejskie, gdzie w ładnych domach, wśród zieleni, mieszkać będą weseli, zasobni ludzie”. Teraz nastały takie, dawno oczekiwane, czasy, o których wam się tylko śniło. Najśmielsze projekty stają się realnymi. Moim bohaterem, godnym poparcia i naśladowania jest nasz minister przemysłu i handlu Eugeniusz Kwiatkowski. Jego plan to: budowa nowoczesnego portu, rozwój nowoczesnego przemysłu, rozwój handlu i eksportu. Przy tym to, co budujemy musi być najnowocześniejsze na świecie. - No dobrze, ale powiedz nam, jakie ty masz plany? – przerywa potok słów Wojciech. – Ja wszystko dokładnie obmyślam. Z interesów z wojskiem muszę się stopniowo wycofać. Zostałbym chyba alkoholikiem, a poza tym, dają mi coraz częściej, do zrozumienia: „Kto smaruje ten jedzie”. Już nie wystarcza, że przy byle okazji urządzam, suto zakropiony, obiad lub kolację. Zajmę się wyłącznie handlem zbożem. Budujemy najnowocześniejszy port z najnowocześniejszym elewatores zbożowym. Trzeba go będzie zapełnić. Rozwijamy eksport polskich towarów i płodów rolnych. Rozglądam się za dzierzawą średniej wielkości młyna z nowoczesnym wyposażeniem, który bym ewentualnie wykupił. Z drugiej strony, chciałbym nawiązać trwałe kontrakty z plantatorami. Zaprzyjaźniłem się z właścicielami Ostrowitka. Stary dziedzic Stachurski, to wybitny społecznik. Myśli o odbudowie spalonych przez bolszewików wsi na wzór niemiecki, zorganizowaniu drobnej wytwórczości przyzagrodowej i chłopskich kooperatyw. Pomaga mu w tym jego syn Stanisław, ułan Legionów. Tylko biedak leczy przestrelone w ostatniej szarży płuco. Chcę się włączyć w realizację tych pomysłów. Myślę o takim kartelu: „Od pola do stołu”. Na końcu łańcucha, wytwórnia zdrowej żywności.

Braciom zaparło dech w piersiach. Ma chłopak rozmach, pomyślał Jan, Usiłuje ukryć wzruszenie pomieszczone z dumą. Przecież marzył o takim synu. Wojciech porusza inny temat. – A nie myślisz o założeniu rodziny? Kręci tu się taka panienka. Przyjeżdża niby do Hanki, ale interesuje ją piekarnia, a jak tu przychodzi, to pytuje mnie nie o chleb czy bułki tylko, zgadnij o kogo? Wiem, - odpowiada Kazik. - To jest mój problem. Najmłodsza panna Stachurska, Ada, okazuje duże zainteresowanie moją osobą. Tylko nie jest to ta wymarzona. Nie wiem, co zrobić. Nie chciałbym jej urazić, a może i całej rodziny, bo czuję, że chętnie widzieliby we mnie zięcia i szwagra. Musisz to jej i im wyjaśnić jak najprędzej. Inaczej byłoby to nieuczciwym. Kategorycznie zażądał Jan.

## Rozdział VIII

### Tylko ta!

Kazik wybrał się do Ostrowitka. Było późne letnie popołudnie. We dworze, jak zwykle, gdy przyjeżdżał o takiej porze, poprowadzono go do pokoiku gościnnego, bo przeważnie zostawał na nocleg. – Kogo macie dziś we dworze? – Zapytał chłopaka, który przyniósł mu dzbanek wody i ręcznik. Przyjechała pani Józefa z dziećmi i z panienką Różą, jest panna Jadzia, narzeczona pana Stacha, są jeszcze ksiądz proboszcz i dziedzic z Ostrowitego. Z salonu płynęła, śpiewana czystym, mocnym altem, dumna pieśń: „Jak wspomniała nasza postać kiedy w słońcu błyszczą stal. Koń rwie ziemię, nie chce ustać. Pójdiesz koniu, pójdiesz w dal. Bo taki los wypadł nam...” Zatrzymał się w otwartych drzwiach. Obok Antoniego, który akompaniował delikatnie na gitarze, stała śpiewaczka, smukła trochę blada dziewczyna. To była ulubiona piosenka Stacha. Ostatnio czuł się bardzo źle, stale gorączkował. To było jego pożegnanie, bo wyjeżdżał do wojskowego szpitala w Otwocku na dłuższe leczenie. Śpiewaczka zakończyła swój występ i usiadła, przytulając się do matki. Kazik nie mógł oderwać od niej oczu. Jak bardzo różniła się od swej młodszej siostry Wery. Podobna bardziej do ojca, pełna jakiegoś spokoju i łagodności. Antek przywitał serdecznie Kazika i poprowadził do matki, siedzącej obok nowoprzybyłych córek. – Józiu, Rozalko poznajcie naszego przyjaciela pana Kazimierza Galczaka. - Kazik przywitał się z paniami i z zebranymi. Proboszcza i dziedzica Ostrowitego poznał już dawniej. Witając, zająrał przez mgnienie w oczy Rozalki. Czy to wtedy „zaiskrzyło” i zapaliło się wielkie uczucie?

Poproszono na kolację. Kazik siedział obok Wery-Ady, która zarezerwowała sobie miejsce między nim a Antkiem. Miejsce Rozalki wypadło naprzeciw. Pani Józefa wyjaśniła, jak imię Rozalki zmieniło się na „Róża”. - Gdy jako dwunastoletnia dziewczynka przyjechała do Rosji i zapisywali ją do szkoły, nieznane tu imię zamieniono na popularne „Roza”. Znajomi Polacy nazywali ją, w związku z tym, Różyczką albo Różą i tak już zostało.

Wybuchła wojna, a po niej rewolucja. Miasto Kramatorskaja, w którym mieszkali, przechodziło z rąk do rąk. To biali, to czerwoni, to Ukraińcy. Każda „władza” zaczynała od mordów i rozstrzeliwań. Mąż Władysław Czyżewski, działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, zesłaniec 1905 roku, gdy wybuchła wojna został powołany do wojska. Służył gdzieś na Kaukazie. Wpadł na krótko w 1917, jako dezertier ukrywał się przed „białymi”. Powiedział, że jedzie zaciągając się do polskich oddziałów. Miała jeszcze wiadomość, że walczył gdzieś w Mongolii w oddziałach „czerwonych”. Jakiś uciekinier przyniósł wiadomość, że zostali rozbici, a oficerowie rozstrzelani. Pewnej nocy zjawili się bracia Andrzej i Antoni, dezertery

z carskiej armii na Dalekim Wschodzie. Przedostali się aż z Harbina, wstąpili żeby ratować siostry. Tylko dalszą przeprawę przez płonącą Ukrainę i front niemiecki, z dwójką małych dzieci i młodą dziewczyną uznano za zbyt niebezpieczną. Odważnym braciom udało się. Antek dopiero teraz widzi ponownie i ściska siostry.

I tak płynęło, przerywane tylko zapraszaniem do spożywania wnoszonych dań, opowiadanie o tych strasznych czasach bezprawia na ziemi, gdzie życie ludzkie nic nie znaczyło. Słuchano o przygodach tych dzielnych kobiet i ucieczce z Kraju Sowieców.

Józefa z dziećmi mogła się repatriować na podstawie umowy polsko-sowieckiej 1921 roku, ale Róża, sanitariuszka w szpitalu wojskowym przejętym przez bolszewików, stała się funkcjonariuszką Czerwonej Armii. Prędzej by ją rozstrzelali niż pozwolili wyjechać. Były zrozpaczone. Jak uciec z tego „raju”? Pomógł im młody Polak, porucznik armii „białych”, poszukiwany przez bolszewików, którego ukrywały przez kilka dni. Obiecał, że jak się dostanie do Odessy i nawiąże odpowiednie kontakty, da im znać. Była to słaba nadzieja. Tym bardziej, że Róża była świadkiem, jak otoczony przez „czerwono-armijców”, z których dwóch trzymało go pod rękę, stał na przejeździe kolejowym. Czekali na przejazd pociągu. Spozobiegł Różę i lekko się uśmiechnął. Gdy lokomotywa pędzącego pociągu była tuż przed nimi, wyrwał się trzymającym, zostawił im w rękach swój długi rozpięty szynel i przebiegł przez tory. Ogłupiali żołdaci rzucili się na ziemię, strzelali między kołami pociągu. Pociąg był długi. Dopiero po jego przejeździe pognali za uciekinierem. Udało mu się. Słowa dotrzymał.

Gdy Róża dostała kilkodniowy urlop. Ogłosiły, że jadą nad morze, do Soczi. Uważały, że to nie wzbudzi podejrzeń, bo tam zwykle latem wyjeżdżały. Kontakt, w jeszcze stále kontrewolucyjnej Odessie, był drogi, ale dobry. Za całą biżuterię i carskie złote ruble. Przeszmuglowano je z dziećmi na statek rumuński. Jako Rumunki, z rumuńskimi i innymi, bałkańskimi repatriantami odpłynęły do Konstancy. Zdawało się, że to koniec niebezpieczeństw. Tymczasem, na statku stwierdzono podejrzenie tyfusu. Nie wpuszczono go do portu. Pasażerów przewieziono jakąś starą barką na brzeg i wojskowymi ciężarówkami, pod silną eskortą, do starych baraków niedaleko miasta. Urządzono prymitywną, dobrze strzeżoną kwarantannę. W jednym baraku umieszczono chorych i zostawiono bez opieki. Czekali aż ewentualna zaraza sama wygaśnie. Przywieźli trochę podstawowych leków i duże ilości środków dezynfekujących. Szpital zorganizujcie sobie sami, oświadczył jakiś urzędnik.

Teren był ogrodzony. Uzbrojona straż pilnowała, aby nikt się nie wydostał. Kilkadziesiąt osób znalazło się w pułapce. Jeden z pasażerów, stary Rumun, z zawodu felczer, prosił, żeby ktoś się zgłosił do pomocy przy chorych. Róża natychmiast się zgłosiła i przeniosła do baraku z chorymi. Odtąd kontaktowały się tylko z daleka. Straszne było to bezradne oczekiwanie.

Kazik z zapartym tchem słuchał opowiadania. Tylko półsłówkami odpowiadał na usiłowania Wery nawiązania rozmowy. Nie uszło jej uwadze, że pożera wzrokiem siostrę. Wreszcie wyszła, przepraszając, że coś musi dopilnować w kuchni. Przy

stole, komentowano te i wspominano inne, własne przygody. Róża tłumaczyła: - Nie mogłam zostawić chorych, gdy wybrałam taki zawód. Prawda księżę proboszczu? Ksiądz też idzie z wiatykiem do każdego chorego. - Prawda moje dziecko. Odpowiedział ksiądz. - Nie mogłaś inaczej postąpić. Pan Bóg się nami opiekuje w takich chwilach.

Kolacja się skończyła, pożegnano gości z Ostrowitego. Młodzież przeniosła się na werandę wychodzącą na sad i aleje lipową prowadzącą do jeziora. Ciepły, letni wieczór był pełen woni świeżo koszonych łąk. Długo tak jeszcze siedzieli w kręgu oświetlonym wiszącą naftową lampą, na którą wpadały i ginęły ćmy. Antek grał pięknie na mandolinie, a Róża, przy jego akompaniamencie, na prośbę, okrywanego pieczętołowicie przez Jadzię, chorego brata, śpiewała coraz to nowe, dumki ukraińskie i rosyjskie romanse. Kazika proszono o jakieś modne tanga argentyńskie. Wspierał go czysty sopran Jadzi. Towarzystwo rozśpiewało się na dobre. Koncert niósł się po jeziorze i wracał dalekim odbitym echem. Wreszcie pora spać, bo na wsi wstaje się przed świtem.

Kazik udaje się do przydzielonego mu pokoiku, a tu niespodzianka, na parapecie otwartego okna siedzi Ada. Jak się potoczyła rozmowa? - Nie wiadomo. Kazik pamiętał prośbę ojca. „Musisz sytuację wyjaśnić”. Ada nie była jedną z tych dziewczyn, które zalewają się łzami. Raczej „piorunowała” wzrokiem i słowami. Po latach, w Zaleszczykach, granatami i z „pepeszą” w rękach, wraz z dwójkiem Rosjan, przez kilkanaście godzin odpierała ataki bandy UPA. W Kaziku była chyba naprawdę zakochana. Za mąż wyszła dopiero szesnaście lat później, w czasie wojny i to nie bardzo szczęśliwie.

Przy śniadaniu Ada siedziała już obok Stacha a między Antkiem i Kazikiem posadziła Różę. Oświadczyła, że wyjeżdża do Poznania. Chce się zapisać do pomaturalnej szkoły ogrodniczej. Kazik wraca do Włocławka, wyskakuje ze swego „kocza” i wpada do ojca. - Tato żenię się w Ostrowitku - woła. Czy aby to dobrze przemyślałeś? Mówiłeś, że to nie twój typ, a teraz: Żenię się! - Tatusiu, nie z Adą. Z nią sobie już wszystko wyjaśniliśmy. Ożenię się z jej siostrą Różą. - To tam tak wymieniają siostry, jedną za drugą? Pyta rozbawiony Wojciech, który był przy rozmowie. - Ach stryжку, to sprawa poważna. Dopiero wczoraj ją poznałem. Jeszcze nikt o tym nie wie. Wam pierwszym to mówię. Ona albo żadna. Oświadczę się jej i rodziców poproszę o jej rękę, tylko muszę mieć bukiet najpiękniejszych róż, bo to Róża - Różyczka. - Kazik opowiada o przygodach tych dwóch sióstr, które usłyszał. O tym, jak pięknie śpiewa, jaka była dzielna. - Daj ci Boże - podsumowuje rozmowę Jan. - Z różami możesz jechać. Tylko najpierw z nią porozmawiaj. Może już ma kogoś. Przecież nic nie wiesz. Czy ty jej się podobasz? Nie bądź taki zarozumiały. - Nie rusz Andziu tego kwiatka... - znasz ten wierszyk? - Wtrącił Wojciech.

Kazik musiał zająć się swoimi interesami. Wieczorem i jeszcze długo w nocy pisał pierwszy list miłosny. Następnego ranka Janek pędził konno do Ostrowitka, z listem do panny Róży, niby przy okazji jakiejś przesyłki w sprawach handlowych dla Antoniego. Janek list przekazał do rąk własnych. Przywiózł, tylko wiadomość, że panienka pilnie

wyjeżdża z panem Stanisławem i jego narzeczoną do szpitala w Otwocku oraz do Warszawy i usną odpowiedź: Dziękuję za list. Postara się wkrótce odpowiedzieć. Kazik czekał z niecierpliwością, pełen obaw i ponurych myśli na listonosza.

Odpowiedź nadeszła dopiero po kilkunastu dniach z Zakopanego. Róża dziękowała za list i zainteresowanie swoją osobą, przepraszała, że dopiero teraz odpisuje. Musiała zająć się chorym bratem, a obecnie wypoczywa wraz ze szwagierką, żoną brata Andrzeja. Pisała o urokach gór, o licznych doborowym towarzystwie. - Nie odpowiedziała „ani tak, ani siak” – skarży się stryjowi zmartwiony Kazik. - Najważniejsze, że zaprasza cię do dalszej korespondencji. - Mądra dziewczyna – stwierdził Wojciech, gdy Kazik przeczytał mu list. - Ciesz się, że nie pisze „Nie zawracaj mi pan głowy, bo moje serce już zajęte!”. Od tej pory dochód Poczty Polskiej powiększył się. Do czego przyczyniła się wymiana pachnących coraz dłuższych listów między Włocławkiem, a Zakopanem, Rozpszą i Warszawą, miejscowościami gdzie przebywała Róża.

W naszym domu, w bieliźniarce, pod stert poszewek i prześcieradeł leżała przez długie lata, zawiązana wstążeczką paczka tej dawnej korespondencji. Spłonęła rzucona ręką mamy do ognia, gdy w czasie okupacji czekaliśmy na wysiedlenie „w nieznanie”. Tak wyglądał wstęp do ważnego (szczególnie, również dla piszącego te słowa i jego rodzeństwa), okresu w życiu Kazika, zwanego kiedyś „konkury”, a po polsku „zaloty”. Było ściśle określone, przez „konwenans” – ten wytwór tysiącletniej kultury europejskiej, zachowanie młodej pary. Korespondencja miłosna, nieraz pełna poezji i przedstawiająca głębokie uczucie dwojga zakochanych, stanowi odrębny dział literatury i przedmiot badań wszystkich znanych kultur. Oczywiście istniały od czasów epoki kamienia łupanego, tak zwane „końskie zaloty”. Preferowany obecnie „system uproszczony”. Korespondencja miłosna została skrócona. Do wymiany myśli i uczuć używa się sms-ów, bez polskich liter. Krótko i łatwo!

Nadeszła jesień. W Ostrowitku żałoba. Syn Stanisław zmarł w Szpitalu Wojskowym w Otwocku. Przestrzelone płuco było przyczyną dalszych komplikacji i śmierci, której ówczesnymi środkami nie można było zapobiec. Został pochowany z honorami wojskowymi w kwaterze, poległych Obrońców Warszawy, cmentarza otwockiego. Kazik przyjeżdża z wizytą kondolencyjną. Jest zgromadzona cała rodzina po powrocie z pogrzebu. Spotyka się z Różą. Wita go jak dobrego znajomego. Łzy płyną, gdy opowiada o przytomnej śmierci brata. Przyjechał najstarszy brat Andrzej z żoną Janiną i czwórką dzieci.

Andrzej i Antoni, dyplomowani rolnicy, naradzają się nad ratowaniem folwarku, którego sytuacja jest coraz gorsza. Czy uda się jeszcze odrobić straty spowodowane kosztowną, społecznikowską działalnością ojca? Martwią się o ojca. Śmierć Stacha, drugiego syna, którego zabrała mu wojna w widoczny sposób załamała, tego 74 -letniego człowieka o zdawało się dotąd niespożytej energii.

Tak to bywa ze starymi ludźmi. Wyglądają i czują się w pełni sił, aż przychodzi taki moment, że „czas upomina się o swoje”. Andrzej wyjeżdża, ma na głowie zarząd klucza folwarków. O ile mnie pamięć

nie myli, należących do rodziny Korwin-Szymanowskich. Ojciec przekazuje „ster rządów” Antoniemu, który z wdzięcznością przyjmuje pomoc Kazika. Jest on teraz częstym gościem, w Ostrowitku. Przy okazji pobytu w powiecie i województwie załatwia liczne sprawy urzędowe folwarku. Zostawmy na razie te sprawy.

A co z konkurami? Kazik „nie zasypia gruszek w popiele”. Róża ma kilku adoratorów z sąsiedztwa, Najdłużej trzyma się niejaki Bisikiński, dziędzic jakiegoś folwarku w okolicy. Utrwaliło mi się to nazwisko, bo ojciec, przekomarzając się z mamą, przypominał je czasem. Młody ziemianin nie miał szans. Nareszcie Kazik usłyszał to upragnione słowo: „TAK”. Pewnie poprzedzało je wręczenie ukochanej tego, umyślnego dawno, bukietu czerwonych róż. Teraz już tylko prośba rodziców o rękę Róży i zaręczyny z uroczystym przyjęciem. Został formalnym narzeczoną.

Wyszły „zapowiedzi”. Termin ślubu ustalono na karnawał roku 1925. Pamiętam pierścionek zaręczynowy, jaki dostała mama. Był to mały, platynowy pierścioneczek w kształcie łódeczki z delikatnym, grawerowanym wzorkiem, wśród którego błyszcząły dwa brylanciki, jak dwie gwiazdki. Szkoda, że musiał „iść do ludzi” w jakiejś trudnej sytuacji. Okres narzeczeństwa, to pełne emocji planowanie wspólnej przyszłości.

We Włocławku remont i meblowanie mieszkania w oficynie za piekarnią na okres przejściowy. Niebotyczne projekty Kazika, Róża stara się urealniać. Ma pełne ręce roboty. Szyje się ślubna suknia, kompletuje wyprawa panny młodej. Kazik zamawia u najlepszego włocławskiego krawca, pana Jaźwieckiego, frak ze wszystkimi niezbędnymi dodatkami, składanym cylindrem z importu i peleryną. Dodatki jakoś się rozeszły, a frak miałem odziedziczyć gdy dorosnę. Dziwnym trafem przetrwał wojnę. Mole też go oszczędziły. Okazało się, że moja figura zbyt tęga, a czasy zbyt chude. Mama podarowała go jakiemś zbieraczowi staroci.

Na ślubnym kobiercu młodzi stanęli w sobotę 14 lutego 1925 roku. Ach, co to był za ślub! Udzielał go, w pobliskiej Chelmicy, tamtejszy proboszcz, wuj pana młodego i odprawiał uroczystą Mszę św. w asyście proboszcza z Ostrowitego i księdza Bogdańskiego, kanonika katedralnego z Włocławka, kapelana Harcerstwa, który wygłosił piękną okazijną homilię. Nawa kościoła była przybrana białymi wstążkami, a marsza weselnego zagrała orkiestra 14 pułku piechoty z Włocławka. Państwo młodzi w karecie i goście kawalkadą sań i powozów przejechali do Ostrowitka.

W starym dworze wydano tylko przyjęcie dla licznie zaproszonych gości. Obowiązywała jeszcze żałoba po zmarłym bracie. Było to jednocześnie pożegnanie okolicznych ziemian przez dobrego sąsiada dziedzica Ostrowitka. Zapadła decyzja, że folwark zostanie sprzedany Bankowi Rolnemu „pod parcelację”.

Tak oto, doszliśmy do momentu połączenia świętym węzłem małżeńskim na dobre i na złe, wnuka Andrzeja Galczaka z wnuczką Szymona Stachurskiego.

*Waldemar Galczak*

Teksty i zdjęcia są własnością autorów.  
Skład - Andrzej Galczak  
Druk - REKPOL Sp. z o.o.  
85-236 Bydgoszcz ul. Grunwaldzka 32



III Zjazd Rodziny Galczaków



Chodec 2010